

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 2 KWIETNIA 1927 ROKU

NR 14

TREŚĆ NUMERU: Od Wydawców. O szkołę dla dziewcząt—S. Z. Prawo współczesnego mimicy—M. H. Szpyrkówna. Kobiety niebezpieczeństwo—Stefanja Podhorska-Okołów. „Farys“—Stanisław Miłazewski. Wolność w zupie rakowej—Juljusz Kaden-Bandrowski. Plantator z Malaty—J. Conrad, przekład autoryzowany Teresy Tatariewiczowej. Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.)—Helena Ceysingerówna. Narciarki—chlubą sportu polskiego—K. Muszałówna. Kobieta w świecie i w domu—H. S. Z teatrów—Z. M. Wroby z rajji—J. S. Zdobienie roślinami mieszkań i stołów jadalnych dawniej i dziś—Ob. W sprawie zorganizowania gospodarstwa domowego—Marja Morzkowska. Kwiecień w gospodarstwie domowym—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Najpraktyczniejsza suknia—Well. Artystyczne tkactwo bez warsztatu. Kapelusze żałobne. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony“—Colette Yver, autoryzowany przekład S. Ł. Arkusz wzorów.

OD WYDAWCÓW

Z dniem 1 kwietnia kierownictwo naczelne naszego pisma przechodzi w ręce znanej literatki i publicystki, Stefanji Podhorskiej-Okołów.

Zmiana redakcji nie wpłynie w niczem na kierunek i ideowe podłoże „Bluszczu“, rozszerzone zostaną jedynie ramy jego działalności, dzięki szerszemu uwzględnieniu bogatych objawów życia dzisiejszego, jak również przez dopływ świeżych sił twórczych z zakresu literatury i pracy społecznej.

Kilkudziesięcioletnia owocna praca „Bluszczu“ wytknęła mu drogę, z której zbaczać nie ma prawa. Pozostanie on i nadal wiernym towarzyszem kobiety polskiej, ostoją jej ideałów najczystszych i wierzeń najukochańszych, placówką zdobywczego czynu na drodze ku moralnemu, duchowemu i fizycznemu odrodzeniu rodziny i społeczeństwa.

Nie rzucamy szumnych haseł, nie kreślimy zawrotnych programów. Wierzimy, że nieomylny instynkt kobiety polskiej poprowadzi ją najwłaściwszą drogą, ku jaśniejszemu jutru ludzkości.



O SZKOŁĘ DLA DZIEWCZĄT

Znaczenie kobiety w życiu społecznym, bez względu na to, czy bierze ona bezpośredni udział w pracach instytucji społecznych, czy też ogranicza się do spełniania obowiązków w rodzinie, jest tak wielkie, że niepodobna zapomnieć o niem w momencie, gdy władze szkolne, organizacje nauczycielskie, oraz jednostki, interesujące się sprawami wychowania i nauczania, rozważają—bądźto na konferencjach, bądź też na łamach prasy—problem przyszłego ustroju szkolnictwa.

Jako matka — dobra lub zła wychowawczyni, jako żona—wzmacniająca lub niszcząca siły psychiczne mężczyzny, jako wreszcie pracownica społeczna—cicha i sumienna lub zarozumiała i powierzchowna—kobieta pośrednio lub bezpośrednio, buduje lub niszczy pracę społeczną. Od jej zdrowego lub chorego ustroju nerwowego, od jej kultury umysłowej i poziomu etycznego zależy w dużej mierze jakość wychowania dzieci, dodatni lub ujemny wpływ na członków rodziny, którzy podjętą lub zniechęcenie do pracy czerpią w ognisku domowym. Sprawa więc wychowania i wykształcenia kobiety jest sprawą pierwszorzędną wagi.

Istniejące dotychczas na terenie Rzplitej typy szkół, czyto pozostałe po zaborcach, czy też nowe, przez nas stworzone, nie rozstrzygają tej sprawy w sposób zadowalający. Nie rozwiąże problemu wychowania i wykształcenia dziewcząt oderwana od życia, a kształcąca wyłącznie intelekt—szkoła średnia ogólno-kształcąca, ani najwięcej może z istniejących szkół do życia zbliżone, ale przygotowujące specjalnie do zawodu nauczycielskiego—seminarium nauczycielskie, nie rozwiążą również tego problemu istniejące na terenie b. zaboru pruskiego licea i żeńskie szkoły wydziałowe, które nie dają ani dostatecznego wykształcenia praktycznego, ani ogólnego.

Życie wskazuje, że dla kształcenia dziewcząt w Polsce należy stworzyć specjalny typ szkoły średniej, nie niższy i nie gorszy od istniejących, lub projektowanych typów szkoły średniej ogólno-kształcącej, ale typ inny, dostosowany do potrzeb życia, uwzględniający rolę, jaką kobieta ma spełnić w życiu społecznym. Szkoła ta musi zapewnić dziewczętom średnie wykształcenie ogólne, wykształcić ich intelekt i dać im takie przygotowanie do życia praktycznego, aby, gdy zajdzie potrzeba, umiały zorganizować i podtrzymywać życie rodzinne, oraz pracować intensywnie w instytucjach społecznych. Szkoła ta jednak musi stać się przede wszystkim zakładem wychowawczym, w którym wychowanie fizyczne i wychowanie etyczne staną się ośrodkiem wszelkich prac naukowych i wychowawczych na terenie szkoły.

Postulat, dotyczący wychowania fizycznego, odnosi się zresztą zarówno do szkół męskich, jak i żeńskich; w szkołach żeńskich jednak nabiera specjalnego znaczenia. Chłopcy, kształcący się w choćby najbardziej—gdy chodzi o wychowanie fizyczne—zadowolonej szkole, dzięki swojej naturze, oraz dzięki większej swobodzie, jaką posiadają w rodzinie, spędzając wolne chwile w gronie kolegów na wolnym powietrzu, mogą dostatecznie rozwinąć swój organizm, gdy tymczasem dziewczęta—z natury słabsze, nie mogące cieszyć się w takim stopniu jak chłopcy swobodą, nie rozwiną się fizycznie, o ile szkoła sprawy wychowania fizycznego nie potraktuje poważnie. Jakkolwiek wychowanie fizyczne wchodzi w program szkoły dzisiejszej i jest traktowane przez władze szkolne o wiele poważniej, niż w okresie przedwojennym, to jednak należy stwierdzić, że wychowanie to nie wnika jeszcze w całość kształtu życia szkolnego. Przyczyn należy szukać w tem, że w niektórych częściach Polski starsze społeczeństwo, zarówno rodzice, jak kierownicy szkół i nauczyciele, uznając teoretycznie konieczność wychowania fizycznego, w praktyce nic w tym kierunku nie robią, a nawet, hołdując przesądom, niejednokrotnie przeciwdziałają.

Troskliwi o przyszłość dziecka rodzice baczą pilnie, by ich córka przechodziła z klasy do klasy, ciesząc się, gdy jej praca zostanie uwieńczona pomyslnym wynikiem egzaminu dojrzałości, zdają się być zupełnie uspokojeni, gdy u dziecka nie występują wyraźne objawy takiej lub innej choroby, ale nie baczą, czy ta szkoła, dając swojej wychowanicy świadectwo dojrzałości umysłowej, nie wypisała na jej organizmie świadectwa niedołęstwa fizycznego, wskazującego na zupełne wyczerpanie nerwowe, skłonność do hysterji i t. p.

I nie zmieniają tego stanu rzeczy okólniki ministerjalne, skutecznie wychowywać młodzież mogą tylko żywi ludzie, świadomi zadań, jakie na nich ciążyą. Faktem jest, że, stosując nowe programy nauki o zwiększonej liczbie godzin, stosuje się stare metody nauczania, przenosząc punkt ciężkości z pracy w szkole na pracę domową ucznia; faktem jest, że młodzież, zwłaszcza wyższych klas szkół średnich, po 6 godzinach pracy w szkole, przesiaduje 6 — 7 godzin dziennie w domu nad przygotowaniem lekcji na dzień następny. Gdyby władze szkolne przeprowadziły odpowiednią ankietę wśród rodziców, dowiedziałyby się, że okólniki o przeciążeniu młodzieży pracą niewiele pomagają. Szkoła dzisiejsza, zwłaszcza szkoła żeńska, nie wychowa zdrowego pokolenia; trzeba ją przetrworzyć. Konstrukcja programów nauki, metody nauczania, organizacja życia szkolnego muszą się liczyć z zasadą: zadaniami

szkoły jest nie tylko nauczyć, ale i wychować zdrowe pokolenie.

Drugim momentem, niezwykle ważnym, gdy chodzi o wychowanie dziewcząt, jest wychowanie etyczne. Nie chodzi o to, aby szkoła dawała dziewczętom gotowe recepty, jak mają postępować w życiu, aby wprowadzała specjalną naukę moralności, chodzi natomiast o rozbudzenie i pogłębienie duszy młodzieży. Dziewczęta muszą zrozumieć, że dusza człowieka staje się potężną, zdolną do przetworzenia życia płytkiego i lichego na życie głębokie i pełne treści, jeżeli się tylko nad jej rozwojem i wzmocnieniem pracuje, że ich zadaniem będzie podnosić poziom i siłę duchową rodziny i tych organizacji społecznych, w których będą pracowały.

Spotykamy coraz więcej kobiet wykształconych, posiadających rozległą wiedzę materialną, spotykamy dobre nauczycielki matematyki, fizyki, języków i t. p., ale kobiety, któreby umiały głębiej patrzeć na życie i wpływać na podniesienie poziomu duchowego w rodzinie—nie spotyka się często. Nie trzeba więc dowodzić, ile zyska ognisko domowe przez odpowiednie wychowanie kobiety.

Ukończenie typu szkoły średniej dla dziewcząt, dawałoby prawo wstępu do uczelni wyższych, oraz do wyższych zakładów, kształcących nauczycieli, wreszcie, dawałoby te wszystkie uprawnienia w państwowej służbie, jakie posiadają absolwentki dzisiejszych gimnazjów. Specjalna rola, jaką odgrywa kobieta w życiu rodzinnym i społecznym, każe zwrócić baczną uwagę na wszelkie typy szkół żeńskich, zarówno niższych jak i średnich, zarówno ogólnokształcących, jak i zawodowych. I w tych szkołach musi się zwrócić szczególną uwagę na higienę i wychowanie fizyczne, na wychowanie etyczne i wykształcenie praktyczne.

Hasło tworzenia odrębnych typów szkół dla dziewcząt—nie jest hasłem modnym, uważa się je za hasło niedemokratyczne. Przeciwnicy tego hasła obawiają się, że specjalny typ szkoły dla dziewcząt zmieni ją w szkołę, w której głównymi przedmiotami staną się t. zw. „garnkologia“ i pielęgniarstwo.

I słusznie, dla wprowadzenia „garnkologii“ i pielęgniarstwa specjalnego typu szkoły średniej tworzyć nie warto, warto natomiast i trzeba, gdy chodzi o przygotowanie kobiety do roli, jaką ma odegrać w życiu rodzinnym i społecznym.

S. Z.



M. H. SZPYRKÓWNA

PRAWO WSPÓŁCZESNEGO MIMICRY

Zdaje się, że, pomijając już względy rywalizacji zarobkowej, jedną z przyczyn krytycznego naogół stosunku mężczyzn do kobiety powojennej — jest jej maskulinizm. Kobieta... zmężczyźniała. Zmężczyźniała, czy zmężniała? My, kobiety,—oczywiście i część mężczyzn—wiemy, że raczej—to drugie: że zmiany, jakie dają się w niej dziś zauważyć, są oparte na cechach raczej dodatnich z pośród wielu, jakie wziąć mogła. Właściwa „garsona“ u nas się nie przyjęła. To znaczy, rozmaite wychowanie domowe i rozmaite środki zarobkowania wobec trudności powojennych warunków, wytworzyły krzywizny, dawniej mniej widoczne. Jednak ogół kobiet tylko posunął się — i to krokami milowemi, jak w bajce—w kierunku samodzielności osobistej—samodzielności zarobkowej—samodzielności duchowej. Dawniej mogłyśmy sobie wyobrazić, że jednak najszcześniejszą jest kobieta, która nigdy i w żadnej

mierze nie ma potrzeby troszczyć się o pieniądze. Pieniądze ma mąż, i w miarę potrzeby można się o nie upomnieć. Czasem, o ile wydatek jest nadprogramowy — trzeba o nie poprosić — „przymilić się“, jak to mówiły nasze babki. I pieniądze się dostawało. Skąd je ów mąż brał, jak, kiedy, za co?... były to rzeczy dalsze, nudne, niezrozumiałe, par excellence „męskie“. Do tego „prawdziwa“ kobieta wtrącać się nie była powinna.

I otóż—„minęli te czasy“, jak powiadają nad Wisłą. My—kobiety dzisiejsze—prosić, a zwłaszcza „przymilnie“ — już nie umiemy! Dziś wiemy dobrze — wiele, skąd i na jakich warunkach ma człowiek, z którym dzielimy budżet domowy, a to głównie dlatego, że mu w znakomitej mierze dla utrzymania tegoż budżetu w równowadze dopomagamy. Dopomagamy dwójako: albo przynosząc wkład własnej pracy zarobko-

wej, albo — przez manipulowanie jego zarobkiem tak, aby się dało jaknajmniej wydać, jaknajwięcej zaoszczędzić.

Sztuka gospodarstwa domowego, ta niewdzięczna i niewidoczna praca kobieca, nareszcie zaczyna doczekać się jakiej-takiej apoteozy: zaczyna u nas być słycać o „metodycznej nauce organizacyjnej“ w ekonomice domowej. A w naszym biurokratycznym wieku stempel — to już tak dużo. Nazwali to jakos naukowo? A więc, widocznie, coś w tem musi być: trzebaby w to wejrzeć! Może istotnie kobiece wymysły powojenne mają rację bytu?

I mężczyzna powoli wziera — ten, niektórzy mężczyzna, nie każdy!... Bo mężczyźni — w stosunku do sprawy kobiecej — dzielą się także na kategorie: jest ich parę. Są tacy, którzy z powodu trudnych warunków stykają się blisko z dorobkiem materialnym powojennej kobiety i oceniają jego wpływ na budżet domowy: ci wiedzą, że stosunki zmieniły się z przedwojennego chlebobawcy i — w lepszym razie — pracownicy na — wspólników. I tu już znika własną śmiercią wszelka mowa o zależności. Inni znów nie stykają się bezpośrednio, w zakresie własnego budżetu, z udziałem kobiecym — i pozostają sceptyczni, na wszelki wypadek: żeby się nie ośmieszyć! Jeżeli są antifeminiści, będą usiłowali tembardziej pomniejszyć rolę powojennej kobiety ekonomicznie; jeżeli są bezstronni, będą liberalnie głosowali za prawami kobiety, które, między nami mówiąc, kobieta i brała, i bierze, i brać zapewne będzie, zgoła nie licząc się z wolą, czy nie — wolą męską: posuwanie się w hierarchji społecznej w górę jest zawsze walką, i nawet ci, najliberalniejsi, dali miejsce kobiecie jedynie dlatego, że ich do tego zmusiła — a tem było to trudniej, że za sobą miała tylko przymus moralny bez poparcia przez siłę. Jeżeli może być mowa o wpływie fizycznym — no, to może tego sposobu kobiety nie zaniechają nigdy, począwszy od uroczych żon ministrów angielskich i francuskich, zmieniających kartę świata na swoich jour'ach skuteczniej, niż ich mężowie w Parlamencie i Senacie. Ale jest to pierwiastek wieczny przeciwieństwa i przyciągania, który mężczyzna wyzyskuje równie dobrze, innemi tylko właściwościami, i którym najpowojniejsza kobieta poniekąd ulega zawsze. W obu wypadkach abstrahuję od wpływów ściśle fizjologicznych: mówię o znanym fakcie, że ten sam argument w ustach mniej lub więcej miłej kobiety prędzej przekona mężczyznę, niż dowodzenie jego kolegi, a odwrotnie — kobieta zawsze skłonniejsza jest przyznać rację, wyrażoną przez sympatycznego dżentelmena, niż przez najgodniejszą uznania społecznikę.

I oto myślę, że najważniejszym bodaj szkopałem w sensie sceptycznego, nieraz, stosunku mężczyzn do

powojennej kobiety, jako typu, jako wzoru z „Feminy“, czy modnej rewji — jest — powierzchowne jej z maskulinizowanie. Bo przecież niema takiego, któryby, mając z tem do czynienia, nie ocenił pomocy faktycznej w budżecie, jaką jest dziś.

A jednak!... Podejrzewam, że w niechęci męskiej tuła się na dni ostatni sen o Gretchen. Faust może być mądry, Faust może wszystko wiedzieć: może nawet dostawać pieniądze od djabła za sprzedaną duszę i kupować za to Margerytce brylanty. Ale ona się w to wtrącać nie powinna. Onaby powinna, poprostu — kwitnąć i mieć tyle — no... troszeczkę więcej — świadomości, co kwiaty, ptaszki i inne, miłe dla oka, a nie przeciążające inteligencji, stworzenia. Naturalnie, że à la longue, powinnyby znać się doskonale na kuchni i studjować podręczne rady Pani Elżbiety, bo niemasz Fausta, który — po pieniądzech — nie zaprzedałby poraz drugi duszy za fachowe hors d'oeuvre'y i wiśniówkę. Ale tak, czy inaczej, miło jest mieć na podorędziu takie niewinne, błękitne oczy, które nigdy nie splamiły się sprawdzeniem bilansu miesięcznego, i takie pszeniczne warkocze na własność, bez utlenienia co dwa miesiące prawdziwą sfałszowaną henną. A oto wszystko się zmieniło, i niewątpliwie przez sztuki diabelskie poduszczona, Gretchen pewnego dnia spotkała Fausta, który właśnie wracał z opóźnieniem z biura — z obciętymi à la garçon warkoczami i portfelem pod łokciem.

— Ależ, moje dzieckol... Co za pomysły? Dlaczego ostrzygłaś włosy?

— Bo mi tak wygodniej. Bo taka jest moda. Bo, zresztą, wyglądam z tem inaczej, a już mi zbrzydło, że wciąż jestem taka sama. Nie odpowiada ci?

— Ekstrawagancja w złym guście. Naczytałaś się Madon w slipingach i podobnego bzduru. I co za teka? Kupiłem ci przecież śliczną torebkę na imieniny.

— Tecka, bo idę na lekcję. Będę dawała lekcje francuskiego popołudniu. Jeżeli się będziesz spóźniał, jak zwykle, na obiad, to nie zobaczymy się, aż wieczorem. Tak, tak, tak... Mam od miesiąca niezapłaconą krawcową i nie mogę sobie kupić elektrycznego odkurzacza. I proszę cię, najdroższy, nie rób min, bo niekoniecznie to robię dla własnej przyjemności, tylko, widzisz, wszystko zdrożało, a zarabiasz nie więcej, a przeciwnie —

mniej. Trzeba jakoś radzić! Obiad stoi ciepły, zadzwoń i każ podawać. Pa... Jeżeli będziesz, zresztą, grzeczny, zafunduję w sobotę bilety do Qui-Pro-Quo. Zamknij za mną na łańcuch, bo znowu tu kogoś okradli. Pa!

Margerytka skinęła garsońską główką (swoją drogą, dobrze temu łobuzowi z czupryną, ale żeby tak nagle, nie poradziwszy się...) i poszła. Poszła na lekcję francuskiego, czy łaciny, rysunków, czy gimnastyki



Ε.

Β.

plastycznej, do pracowni krawieckiej, do seminarjum nauczycielskiego — ba... do Sejmu i do władz muncypalnych. Czy na pewno by poszła, mając warkocze i błękitną sukienkę? Osobiście myślę, że — nie!... Prawo mimicry głosi: stworzenie, które chce żyć w danym otoczeniu, musi się do niego upodobnić. Kobieta z warkoczami nosi na głowie nie tylko ciężące jej włosy, nosi jeszcze ciężącą jej tradycję. Któraż prawdziwa kobieta nie wie, jak olbrzymie znaczenie psychologiczne ma dla nas suknia, jaką w danej chwili na sobie mamy!... Czy kobieta w krynolinie mogłaby bez ośmieszenia się — brać udział w biegach zawodowych? Czy markiza, z dziwnymi panierami na bokach, usposabiałaby do zmiatania kurzu? Suknia, obuwie,

ubranie wogóle — stanowią podłoże psychologiczne do energii, lub beczynności, do żywości, lub powłóczyści, nawet — do uczciwości, lub perwesji. I jestem zupełnie pewna, że kobieta, przekształcająca się dziś z dawnej Gretchen — w jej różnych odmianach — na wyzwoloną garsonę, w jej najrozmaitszych stopniowaniach, a głównie — w zarobkowym, że ta powojenna kobieta przechodzi tylko przemianę, podyktowaną przez odwieczne prawo mimicry — upodobnienia się zdobywającego do terenu, który zdobywa — zanim ten teren zwycięsko opanuje, lub zginie. Zobaczmyż, w jaki sposób możnaby złagodzić te przemiany — przynajmniej zewnętrznie.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

KOBIECE NIEBEZPIECZEŃSTWO

W numerze „Gazety Literackiej“ z dn. 15 marca ukazał się artykuł p. t. „Kobiece niebezpieczeństwo“, sygnalizujący pewne objawy i prądy w literaturze polskiej, które autor zupełnie słusznie uznaje za niepożądane, a których źródło upatruje w „gromadnej inwazji kobiet na współczesny Parnas polski“.

Że ta inwazja jest faktem dokonany, nie trzeba tego dowodzić. Wojna wyzwoliła nagromadzony zapas sił kobiecych, skondensowanych w podziemnej robocie. Kobiece — mrówce pracy organizacyjnej, przez całe życie gorliwie znoszące żdźbła na budowę przyszłego mrowiska, wyrosły skrzydła. Kobieta - męczennica sprawy narodowej wyszła z katakumb i uśmiechnęła się słońcu. Zgasiła kaganek, który jej przyświecał w „długie narodowe noce“, i błyskami oręza jąła rozpraszać mgły, nagromadzone przed świtem. Nieporównana dotychczas w taktyce biernego oporu, błyskawicznie zmieniła front: stała się zdobywcą, agresywną — przeszła do ofensywy.

I tak się zaczęła ta „inwazja“ na wszystkich polach, przede wszystkim na polu literatury. Kobieta, przywykła iść ręką w rękę z mężczyzną, częściej — pod jego komendą, bo tego wymagały specjalne warunki karności narodowej przed wojną i podczas niej, teraz zaczęła się wyłamywać z szeregu, do którego nie przywiązywał jej już nakaz moralny, szeregu, którego trzymały się tylko pewne jednostki, dzięki tradycyjnej inercji społecznej, dzięki leniwemu nawykowi.

Poszła luzem, zindywidualizowała się. Rozproszona w tyraljerkę, czy skupiona w zwartej gromadzie, brała szturmem redutę za redutą. Tam, gdzie spekulatywny umysł męski gubił się w bezpłodnych dociekaniach, gdzie ważył „pro“ i „contra“ i balansował w równowadze niestałej między wybuchami entuzjazmu, a histerycznym sceptycyzmem, tam ona — z przedziwną prostotą doświadczonej szafarki pokoleń — umiała zawsze odnaleźć przysłowiowy „języczek u wagi“, który dawał grunt jej stopom, a spokój — sumieniu.

Do potarganej wichrami wojny puszczy ducha polskiego weszła ufna, zbrojna jedynie w oręż czysto kobiecy — w intuicję. Ta nitka Arjadny poprowadziła ją przez labirynt współczesności ku zwycięstwu. Jak rozumiemy to zwycięstwo? Jako triumf syntezy artystycznej nad analizą, uogólnieni, nad rozpraszaniem się w szczegółach. Poprzyjmy naszą tezę przykładami. Talenty męskie wielokrotnie podchodziły do tematu tak nawskroś, zdawałoby się, męskiego, jak temat bojowego starcia się dwóch światów: Wschodu i Zachodu na terenie kresów Rzeczypospolitej. Podchodziły, skradały się, rwały fragmenty, epizody i z tą zdobywcą wojenną wracały na... zgóry zabezpieczone pozycje.

A kobieta, o nieznanem wówczas jeszcze w literaturze nazwisku, poszła prosto, przed siebie, bez psychologicznych wybiegów, „po męsku“ ujęła temat, ogarnęła go nie we fragmentach, ale w całości fakty-

cznego i artystycznego przeżycia, zajęła odrazu, bez wysiłku, stanowisko epickie. Tak powstała „Pożoga“ Kossak-Szczuckiej, dzieło w swoim rodzaju niezastąpione, nie znajdujące odpowiednika wśród męskich piór, ani pod względem prawdy przeżycia, ani pod kątem mocy artystycznego tej prawdy odzwierciedlenia. Zagadka zjawiska tkwi w samym fakcie „kobiecości“ autorki.

Mężczyzna od niepamiętnych czasów zarezerwował dla siebie wyłączne prawo wątpienia i negacji, wspaniałomyślnie pozostawiając kobiecie nieogarnione, rzadko dla jego umysłu dostępne, przestrzenie wiary. Ona to na suchej glebie dogmatu wyhodowała najbardziej uroczą florę swych uczuć i wyobraźni. Ona to—mocą wiary w triumf dobra—podtrzymywała i syciła czasu niewoli pokolenia, mdlejące w skwarze nieustannej walki już nie o wolność, ale o ludzkie prawo do życia. Ona to, wreszcie, w epoce przewartościowania wszystkich wartości, na rubieży pomiędzy dobrem, a złem, gładkim ostrzem intuicji przecina zawile problematyk dziejowe, nad których rozwiązaniem mizoliły się i mizoliły najteższe umysły współczesne.

I w tem tkwi właśnie istotne „kobiece niebezpieczeństwo“. Nie w rzekomej „rezygnacji z wielkich problemów, z patosu i rozmachu na rzecz drobnej wirtuozeryj w produkcji filigranowych cacek“. Ale w zgoła odrębnej postawie wobec życia, w niespodziewanych, a nieraz dla krytycyzmu męskiego niedostępnych, możliwościach twórczych kobiety współczesnej.

To „orle spojrzenie i lwi chwyt, szeroki oddech twórczy i rozległość horyzontów“, które autor cytowanego przez nas artykułu uważa za „przywilej męskości“ odnajdziemy przedewszystkiem w „Legendach“ w „Opowieści o moskiewskim męczeństwie“—Iłakowiczówny, tej jedynej wśród poetów młodej Polski przedstawicielki chrześcijańskiego prometeizmu.

Nie wiem, jakimi drogami chadzał autor „kobiecego niebezpieczeństwa“, że nie dostrzegł głębokiej perspektywy „Romansu Teresy Hennert“ Zofji Rygier-Nałkowskiej, tego najtrafniejszego przekroju załamania się duszy polskiej w błotku stosunków powojennych, — że nie potknął się o homerycki szaniec „Ludzi stamtąd“ Marji Dąbrowskiej, że nie opalił sobie skraju płaszcza w buntowniczych, żrących płomieniach „Przymierza z dzieckiem“ Kuncewiczowej.

Ma się wrażenie, że i autor, i jemu podobni poeci, którym naprawdę zagraża „kobiece niebezpieczeństwo“, są pod wyłącznym wpływem „filigranowych cacek“, Marji Pawlikowskiej. Urzeczeni jej „Różową Magją“,

upojeni słodyczą jej „Pocałunków“, nie widzą i nie chcą widzieć, że istnieje poza nią inna, mniej „kobieca“ (w pojęciu autora), literatura, która napewno mniej fascynuje, podoba się, „bierze“, ale zato wiele więcej daje tym, którzy się na niej poznać umieją.

Poecie, który przewiduje, że pod wpływem mody, stworzonej rzekomo przez kobiety, pod nakazami powszechnie obowiązującego rytuału poetyckiego, „będziemy pisać o ślicznych wzorach na dywanie, o lalce, która się kocha i o przemiłych straszycielkach, ale zapomnimy zupełnie o tem, że jest gdzieś olbrzymi, grzmiący wicher zdarzeń i szum wzbudzonych mas ludzkich“, że, co gorzej, „zapomnimy, żeśmy byli potomkami Konradów i Anhellich“ — takiemu poecie grozi na każdym kroku mnóstwo niebezpieczeństw, nietylko „kobiece“.

Mogłoby nam to nieco pochlebiać, że wobec paru tomików wierszy kobiecych o wstążkach, papierosach, lalkach, zabawkach i bibelotach, ktoś uderzył w dzwon na trwogę. Każdy przecież, jak w bajce, ma swoją żabę, przed którą ucieka, i swojego zająca, którego się boi. Ale nie bardzo to zaszczytna rola być postrachem dla tych, których rycerskość poniosła aż za granice logiki.

Bo ośmielamy się przypomnieć szanownemu autorowi, że sprowadzanie poezji z wyżyn prometeizmu na padoły powszedniości, szarzyzny i drobiazgów życiowych nie jest bynajmniej zasługą, ani wynalazkiem kobiet, tych romantycznych poszukiwaczek niezwykłości, choćby w pogardzanych przez autora deseniach barwnego kilimu. Mężczyźni-futuryści krzyknęli pierwsi: „Precz z romantyczną pozą, precz z patosem nieszczerem! Bądźmy sobą, bądźmy ludźmi, bądźmy szczerzy! Starajmy się wykrzesać iskrę poezji z najpospolitszych zjawisk życia!“

Cudowne hasła! cudowne, dopóki się nie stały receptą na natchnienie. Poezja z nich wywietrzała, pozostał martwy, rozarty na miazgę, proszek. I w tem tkwi niebezpieczeństwo. Ludzkość nie chce żyć konwenansem, choruje na nostalgię ideału. Apteczny preparat jej nie uleczy. Trzeba jej zadać produkt rzetelnego natchnienia, wszystko jedno, czy przemówi ono przez usta męskie, czy kobiece.

Ale nie trzeba zaraz krzyknąć „Ratunku!“ dlatego, że kilku snobów rozłożyło na podwórku literackiego przedmieścia wypłowiałe dywaniki szablonów, rzekomo kobiecej twórczości, na których chcą się popisywać z akrobatyki poetyckiej. Ci, którym zagraża „kobiece niebezpieczeństwo“, i tak nie zdołaliby się na wielką poezję.



STANISŁAW MIŁASZEWSKI



FARYS



Obraz V. Scena I. Salon Delfiny w Rzymie *).

*) „Farys”, komedia romantyczna, ukaże się wkrótce na scenie Teatru Narodowego w Warszawie.

DELFINA: Prędszej, prędszej! Niech waćpan łaskę mi uczynił
Więc wschód cały okrzyknął go „królem pustyni”,
„Lwem wiernych” ...jak tam jeszcze?

FARFADELLI: „Skrzydlatym pożarem”.

DELFINA: Cudownie! Więc to prawda, że miał cały harem
Różnego wieku, rasy i barwy dziewczątek,
Od turczynek, arabek aż do murzyniątek?
Mówże! Wszystko przemocą wydobywam z waści.

FARFADELLI: Ani wiele ich było, ani jakiej maści,
Nie wiem, bo ich do Rzymu nie przywiózł, niestety...

DELFINA: Co? „niestety”?! Pan zdradza się wobec kobiety!
Fe! Obrzydliwy z pana farmazon, poganin
Lubieżny, jadowity, gnuśny weneccjanin...

FARFADELLI: Gnuśny? Miłość w Wenecji, to nie synekura...

DELFINA: Ach, ta pańska Wenecja, niezdrowa, ponura,
Stolica awanturnic, które tam bezkarnie
Sam księżyc przerabiają w łotrowską latarnię.

FARFAD: Co? Wenecję, księżyczym lśniąca złotogłowiem
Pani zowie oszczerczo...

DELFINA: Zawsze śmiało powiem,
Choć pan i wszyscy pańscy rodacy się wzburzą:
Nazywam ją poprostu — złoconą kałużą!

FARFAD: Boże, nie karz bluźnierstwa!

DELFINA: Waćpan nie protestuj!
Szkoda słów... O Farysie mówmy, skoro jest tu...
Czy to prawda, że niegdyś u wybrzeży Cypru
W morzu złowił sześć worków skórzanych i wypruł
Sześć niewiernych małżonek jakowegoś baszy?

FARFADELLI: Sześć worków żon? Ta cyfra każdego przestraszy,
Kto w stepach azjatyckich się nie bisurmani
Wraz z sarmackim Farysem, twym rodakiem, pani...

DELFINA: Mospanie Farfadelli!

FARFADELLI: Wiem, na czulej strunie
Sympatji współplemiennej położyłem palec...
Za karę z oczu pani piorun na mnie runie...
Poddaję się i błagam o łaskę...

DELFINA: Zuchwalec!
Ostatni raz przebaczam, wiedz acan: — ostatni!
Jeszcze raz dogryź komu, albo psotę płatnij
— Niechęć znać pana...

FARFADELLI: Biedny Farfadelli, żałuj
I milcz jak głaz za karę...

DELFINA: Pomału, pomału!
Wystarczy, gdy pan język z a s a m i przygryzie.
I wrodzoną złośliwość będzie trzymał w rzybie.
— Z kim nasz sławny gość żyje, niech mi pan wy-
Co słyhać w jego domu? [łuszczy.

FARFADELLI: Głucho, niby w puszczy.
W progu targi z fagasem z miną kameduły
O wstęp do tej pustelni humor mi popsuły.
Kobiety ani śladu w całym domu niema,
Chyba, że je turecką modą — w workach trzyma...
To pod słowem honoru wyznam najotwarciej,

DELFINA: Wierzę panu: w tych sprawach masz waćpan węż
[charci.

FARFADELLI: Dostać się doń nikt obcy nie mógł w żaden sposób.
Nawet nikt z dyplomatów, ni duchownych osób...

DELFINA: A więc zwykły śmiertelnik tam się nie dociśnie?

FARFADELLI: Nikt!

(Wchodzi Kapitan Trelawny)

DELFINA: Kapitanie, przyszedł pan jakby umyślnie.
By świadczyć, że posiadam władzę nadczłowieczą!

KAPITAN: Nad rodem męskim? To jest dowiedziona rzeczą...

DELFINA: Bez pochlebstw! Całkiem inna spada na mnie sława:
Czekam odwiedzin...

KAPITAN: Czyich?

DELFINA: Hrabiego Wacława.

KAPITAN: Co? Farysa?

DELFINA: Tak dziś go nazywa świat cały.

FARFADELLI: To cud!

DELFINA: Salony Rzymu próżno zabiegały
O niego. Nawet zręczny signor Farfadelli
Nie wskórał nic...

FARFADELLI: Bo łatwiej mnicha wyrwać z celi!
Pani chyba czarami zwabiła odludka?

KAPITAN: O taką twierdzą walka nie mogła być krótka,
Proszę nas wtajemniczyć w wojenne fortele
Kampanji o ten triumf.

DELFINA: Było ich niewiele.
Ja wszystko przypisuję sympatji tajemnej
Dusz, w których brzmi mistycznie pewien ton wzajemny.
Każda z takich dusz przestrzeń ujarzmiła dla drugiej.
Zgaduje myśli, spełnia tysiączne usługi,
Jakich serce pocichu żąda, lub bezwiednie...

FARFADELLI: W każdej porze?

DELFINA: Zarówno w nocy, jak i we dnie.

FARFADELLI: Jak ten spacer mistyczny przez przestrzeń i wieki
Pani czyni?

DELFINA: Poprostu — zamykam powieki,
W o l ą wrywam ducha z doczesnej powłoki...
Dreszcz... Wstrząs... Pęd... Błysk... Oślnienie... Nieprzej-
[rzane mroki...
Umieram... Grzęznę w nicość... Znów jasno się czyni...
Zmartwychwstaję... już jestem przy nim... albo przy niej...

FARFADELLI: I Farysa sposobem mistycznym, jak tuszę,
Pani wzywa?

DELFINA: Nie jego, tylko jego duszę!

FARFADELLI: Że nikt pani w duchowym wojażu nie ubiegł,
To cud!

KAPITAN: Byron to samo mówił — kubek w kubek!
— Wie pani — na odległość, zarówno jak zbliżka
Mógł kochać... Nieraz widzę, jak do ust przyciska
Złoty włos córy Bordziów, nadobnej Lukrecji.
(Skradziony z Ambrozjany, — jak wyznał w dyskrecji...)
Za ten włos mógł Lukrecję z czyścica wywlec pono
Gdy chciał... Była mu dobrą, choć mistyczną żoną,
Póki jej nie zaniedbał dla Julji z Werony.
Dostawszy z jej grobowca kamyk odkruszony.
Gdyby żył, dziś zapewne grałyby go wiatry
Do piramid, na połów mumji Kleopatry.

DELFINA: Urąga pan tęsknotom smętnego tułacza!

KAPITAN: Stwierdzam fakty...

FARFADELLI: Nieścisle. Wszak pan sam zaznacza,
Że Lord w grobowcach szukał mistycznej miłości,
A zaś pani Delfina ludzi z krwi i kości
Uskrzydła, naznaczając rendez-vous mistyczne...

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

WOLNOŚĆ W ZUPIE RAKOWEJ



edziemy świetnemi szosami przez kraj; pilną pracą wyrównany, czystym piaseczkiem wysypany, wyciągnięty w prawo i w lewo, jakgdyby pod sznur.

Pan urzędnik przepuścił nas życzliwie przez granicę, niewiadomo kiedy nabyliśmy już po drodze kilka przewodników. Są świetne. Rozginają się z przykładowym chrzęstem, mocno zszyte, doskonale opravione.

Zestawiono je tak sumiennie i oszczędnie, że z najmniejszym wysiłkiem, w najszybszym czasie z jednego rzutu oka za niedrogie pieniądze, pod wiatr, czy przeciw wiatrowi—wszystko można z łatwością wyczytać. O drodze, o zakrętach, o restauracjach, o hotelach, gdzie jest benzyna — i o historycznej przeszłości. Taki to już jest mądry ten niemiecki druk, taki będzie zmysłny odsyłacz niemiecki, czy strzałka, że choćbyś nie chciał, dowiesz się wszystkiego mimowoli. Przewodniki, rozrzucone na samochodowym fartuchu, wiatr zwiera w pędzie i rozwiera, jakby dreszcz wstrząsał kartkami.

Jadę, cieszę się bardzo, a co chwilę strach mnie ogarnia, że z za zakrętu wyskoczy na nas nagle stu olbrzymich policjantów w pikelhaubach.

Od najwcześniejszych lat bowiem winien jestem wobec Niemców... Od szóstego roku życia do śmierci chyba będę winien.

Od tego zimowego popołudnia, gdy nauczyciel, trzymając w rękę długą, kanciastą linję, powtarzał ze mną przez trzy godziny — ich bin jung, du bist stark, er ist gesund.

Nie mogłem pojąć, dlaczego „na to samo“ mają istnieć inne, obce słowa. Nauczyciel gniótł mi obojczyki, szarpał, krzychał prosto w usta — ich bin jung, du bist stark, er ist gesund,—przez czarną mgłę rozpaczę powtarzałem ze drżeniem — ich bin jung.

Nie trzeba uczyć nikogo zbyt gorliwie!

Dotąd winnym się czuję wobec Niemców, wszystkie oddawna już „rozumiane“ słowa wstydzą mnie dziś jeszcze, jak jałmużna. Dotąd, gdy się nagle zetknę z dźwiękiem tej mowy, jakbym leżał pod głazem straszliwym i ze łzami bezsily marzył o olbrzymim nożu.

Przelecieliśmy spory kawał od granicy, wszystkie drogi, miedze, ścieżki, steczki aż roją się od ludzi. Jadą gdzieś na rowerach, mężczyźni z nieodłącznym plecakiem, niby z wymiękłym garbem na spadzistych plecach, odziani w czarne surduty, kobiety w spłowiałych strusiowych kapeluszach.

Po dwoje, troje, w parach, całymi rodzinami, rzekłbys, na rowery wsadzone, ogromne kruki czarne i pstre kury.

Żaden nie ma prawa uczyć mnie dziś—ich bin jung. Oglądam sobie wszystko, jak mi się podoba. Wyświecone surduty, żakiety, rude cylindry, czarne, a ze starości siwe na lędźwiach spodnie, trwałe buty wojskowe, wyfasowane jeszcze chyba w Palestynie, Kijowie, Lille, czy też pod Dźwińskiem, podczas gdy nowy weston oszczędza się w szafie..

Patrzę na strusie pióra sędziwe, pończochy żółte, czerwonym brzeżkiem ozdobiony brzeg flanelowych majtadałów nad połyskliwym pedałem, — podczas gdy modna suknia od lat—czeka w chrupkiej bibule, rozprostowana zdrowotnie na wieszaku...

Oszczędności groźna, schludna i szalona!

Wyprzedziliśmy cały ów drób zbożny, w milczeniu na rowerach sunący, wpadamy do miasteczka, które nazywa się Sorrau.

Nie Sorrau, lecz, oczywiście, nie pamiętamy narażie polskiej nazwy,

Stare miasto poszczerbione, „na piernik“ malowane, przywdziało się odświeżnie, ze wszystkich okien wieją flagi, jak płomienie, za ratuszem, przy historycznej bramie prażą potężne głosy trąb.

Weszliśmy do najlepszej restauracji w rynku. Strzeliste połyski niklowanego naczynia, cisza... Jeżeli można tak powiedzieć,—w całym lokalu błyszczą glansowany chłodek.

Wiele wygody, głębokich miejsc skórzanych, popielniczek, zapalek, wykałaczek, wszelkiego oparcia, tylko jedzenia nie widać, nie czuć i wcale nie słysząc.

Wszyscy kelnerzy w bramie.

Z historycznych wrót wytacza się wspaniały pochód—bębny, fajfry, czynele, trąby, w czwórkach surduty, żakiety, strusie kapelusze, kruki, kury, w czwórkach chłopcy o śpiczastych, wystających grdykach, dziewczęta białe, w oplocie kusych warkoczyków.

Idą prosto na nas, wstyd człowieka ogarnia, patrzę wdół mimowoli: okazuje się, że przy pustych stojaczkach na ocet i oliwę trzymam otwartą ilustrację. Na ogromnej stronicy pod datą dzisiejszą szarzeje niebotyczna trumna bohatera.

Ich syn — poległy w wielkiej wojnie.

Syn nieszczęśliwy, krwawy, z którego mają wielkie narodowe święto, ściśnięte w sztywnych czwórkach przez miasta całych Niemiec, przepasane sosnowym wieńcem, z wyraźnie na kokardach drukowaną kartką: Freiheit!

Trąby grzmia uroczyście, głosy bębnow rozbijają powietrze, palec kelnera wskazuje mi tuż obok niebotycznej trumny umieszczone menu restauracji, zaczytujące się w złoconym nagłówku od Krebsuppe.

Nie była to jednak rakowa zupa. Ani raki. Ani masło było masłem, ani mięso — mięsem. Ani owoc owocem, ani chleb — chlebem. Właściwą prawdę smaku wyciągnięto ze wszystkiego i zawczasu oddano gdzie indziej.

Zupa miała kolor tartej cegły, raków oszczędzono, by mogły służyć jakiemuś lepszemu celowi. W masle wstrzymano zawczasu wszelką siłę mleka, jarzyna dziesięć razy oddała „przedtem“ swój sok zasłużeńszej sprawie.

Chcą zawsze być mądrzejsi od każdego czasu, miejsca, celu i potrzeby.

Jakiej więc sprawie oddało wkońcu masło siłę mleka?

Komu zwierzyła ostatecznie swój sok jałowa jarzyna?

Ku jakim celom śpieszy zaoszczędzony przebiegle wigor raka?

Jakaż to korzyść płynie z najwyższego celu, na który składają się wszystkie inne, niższe?

Moja babka mogłaby o tem powiedzieć, jak nikt. Była Niemką. Mówiliśmy o niej na pociechę, że „może niecałkiem, — ale zawsze“.

Miała u siebie w mieszkaniu urządzony starannie kawałek swej wielkiej ojczyzny. Stolik przy oknie, nad głową kanarek w klatce, bluszczem oplecionej, i trochę ulicznego bruku przed oczyma.

Miała salon, który „od urodzenia“ stał w pokrowcach. Koloru obicia mebli oszczędzała. Chciałby go zniszczyć czas, chciałby zmasać złote kwiaty na amarantowem tle! Nie dała.

Lata szły, lecz pokrowce, jak zaległy między obiciem, a czasem, tak stały nieprzerwanie.

Na salonowych pufach nie siadało się nigdy. Były tak wysokie, że wszystkim gościom cierpły na nich nogi już po kilku minutach.

Ostatecznie, wbrew prawom fizycznym, salonowe fotele z wielkiego oszczędzania stwardniały na kamień.

Babka nasza chodziła przez całą zimę w trykotowych włóczkach. Na piersi i plecy nakładała od ciepła gazety.

Futer szkoda.

Powabna ich miękkość służyła wyższemu celowi oszczędności, — aż od naftaliny i tytoniowej trociny stały się sztywne, polepione, jak szczeć dzika.

Nasza staruszka robiła torty, które musiały „dociągać“ od Bożego Narodzenia aż do Wielkiej Nocy. Od Wielkiej Nocy aż do Zielonych Świątek. Musiały umieć przeskakiwać swój czas. Czar smaku kiśł w nich, kwaśniał, ale występowały jeszcze na koniec roku

szkolnego, niby groźne skupiska rdzy w fryzowanych papierowych otokach.

Chleb chowała w pokrowiec. W blaszane pudło. Jak kapelusze. Żeby miąższ nie tracił wilgoci. Chleb ten doskonale wykręcał się dniom, nieraz oszukiwał tygodnie całe.

Powstrzymane w swem życiu przedmioty zaczęły się mścić zczasem. Z pufów salonowych wyrosły niespodzianie brązowe pazury sprężyn. Torty dostały wąsów, z futer wyleciał któregoś popołudnia czarny, kosmaty śnieg, we wszystkich zamkach i zawiasach zaległy się gwizdy, w nogach stołków przywarowały puste skrzeki próchnicy.

Aż wkońcu, odmówiwszy spaśnej, rumianej stróżce dwudziestu groszy za pomoc przy zakładaniu firanek świeżo odprasowanych, spadła nasza babcia z wydeptanego stołka i złamała nogę.

Jak się to stało?!

Pamiętała jedno tylko z wielkim bólem i odrazą, że gdy leżała na podłodze, stróżka trzęsła się we drzwiach ze śmiechu.

— Trzęsła nademną wielkim, „do okropności“ najedzonym brzuchem!..

Złamanie, — ze złamania leżenie, — z leżenia zapalenie — i w taki oto niedrogi, tani sposób śmierć wyszła z za odprasowanej firanki.

Komu się przysłużyły miedziane pazury salonowych pufów, zgniłe kolana stołków, czarny śnieg oszczędzanych futer?

Jakiej sprawie oddało wkońcu masło siłę mleka?

Komu zwierzyła swój sok wycędzona jarzyna?

Bratu mojej babki, rycerzowi, który leży w trumnie niebotycznej na pierwszej stronicy wszystkich ilustracji Rzeszy, w określonym dniu wielkiego święta Freiheit.

Który leży tuż obok złoconego menu restauracji z ceglastą Krebssuppe w nagłówku...

Rycerzowi, który opętany wyższością zaoszczędzonych rzeczy, czasu, przemijania, chciał światu całego świata zaoszczędzić swym mieczem...

Trzeba zawsze zostawić trochę miejsca na głupstwo, rozrzutność, nieporządek!

Dajcież, przyjaciele, umierać bogobojnie rzeczom, mijać czasem, niszczyć się — zniszczeniu!

Życia, szczęścia, dobroci, miłości, wszystkiego się zapierał, i cóż? Za oszczędność taką śmierć wyszła do ciebie z pod firanki. Dwadzieścia groszy zostało w kieszeni, bohater leży w trumnie niebotycznej, trąby i fajfry nic tu nie pomogą, — spaśna stróżka trzęsie brzuchem, ze śmiechu, aż w niej wątroba klaska.



J. CONRAD

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej

I

Dwaj mężczyźni rozmawiali w redakcji wielkiego dziennika, wychodzącego w dużym mieście kolonialnym. Jeden z nich tęższy, blondyn, o bardziej miejskim wyglądzie, był redaktorem i współwłaścicielem owego dziennika.

Drugi zwał się Renouard. Na jego śniadej, pięknej twarzy widać było, że umysł jego jest pochłonięty jakąś myślą. Był to młody człowiek szczupły, żywy, z pewną niedbałością w ruchach. Dziennikarz mówił dalej:

— A więc wczoraj byłeś na obiedzie u starego Dunster'a?

Użył wyrazu „stary“ nie z tą serdecznością, z jaką się go stosuje do bliskich, lecz jako stwierdzenie faktu. Dunster, o którym tu mowa, był rzeczywiście stary. Był to wybitny polityk kolonialny; odsunął się od życia politycznego od czasu swej podróży do Europy i po dłuższym pobycie w Anglii; cała prasa wyrażała się wówczas o nim bardzo przychylnie, a kolonja dumna była z niego.

— Tak, byłem tam na obiedzie—odparł Renouard, — młody Dunster zaprosił mię, gdy już wychodziłem z jego biura. Robiło to wrażenie, jak gdyby myśl tego zaproszenia wówczas dopiero przyszła mu do głowy; podejrzewam go, że miał jakieś ukryte zamiary, gdyż nalegał, zapewniając, że wuj radby mnie zobaczyć. Podobno wspominał niedawno, że udzielenie mi koncesji na Malacie było ostatnim aktem jego życia politycznego.

— Bardzo to wzruszające. Staruszek rozczuła się czasem nad swoją przeszłością.

— Nie umiem powiedzieć, co mnie skłoniło do przyjęcia tego zaproszenia,—ciągnął dalej Renouard—gdyż niełatwo daję się rozczulić. Stary Dunster był dla mnie bardzo uprzejmy, ale nawet nie zapytał, jak mi się wiedzie plantacja roślin jedwabniczych. Zapomniał pewnie o jej istnieniu. Było tam znacznie więcej osób, niż się spodziewałem, bardzo nawet duże towarzystwo.

— I ja byłem zaproszony, — rzekł dziennikarz—ale nie mogłem się wybrać. Kiedy przyjechałeś z Malaty?

— Wczoraj o świcie. Zarzuciłem kotwicę w zatoce przy Garden Point, a w biurze młodego Dunster'a zjawiłem się, nim zdążył przejrzeć korespondencję. Czy widziałeś go kiedy, czytającego listy? Zobaczyłem go przez otwarte drzwi: siedział, trzymając list w obu rękach, z ramionami podniesionymi aż po same wstrętne uszy; nos i usta wyciągnął naprzód, jak ssący aparat. To potwór, istny symbol handlu!

— My nie uważamy go tutaj za potwora—rzekł dziennikarz, przyglądając się uważnie swemu gościowi.

— Zapewne, przywykliście do jego wyglądu i do wielu, jemu podobnych. Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego, gdy przyjeżdżam do miasta, wygląd ludzi na ulicach robi na mnie takie silne wrażenie. Mają twarze pełne wyrazu.

— Ale niezbyt przyjemne?

— Nie, nie wszystkie. Wrażenie to jest bardzo silne, choć niejasne. Wiem, że będziesz to uważał za skutek mojego samotnego życia.

— Tak. Myślę tak rzeczywiście. Całymi miesiącami nie widzisz nikogo. Takie życie jest demoralizujące i niezdrowe.

Renouard uśmiechnął się blado i mruknął wyznanie, że istotnie minęło już dobrych jedenaście miesięcy od ostatniej jego bytności w mieście.

— Samotność działa, jak trucizna — nalegał redaktor. — Dlatego twarze ludzkie robią na tobie silne i tajemnicze wrażenie; zdrowemu człowiekowi taka myśl nie przyjdzie nawet do głowy. Widzisz, do czego to prowadzi.

Geoffrey Renouard nie przyznał się dziennikarzowi, że i jego twarz, twarz przyjaciela, zastanawiała go tak, jak i inne. Odkrywał niszczące ślady, jakie na wyglądzie ludzkim pozostawia czas swem codziennym dotknięciem. Wzruszały go i dręczyły, jako widome znaki wewnętrznego procesu rozkładowego, były przerażająco widoczne dla jego oczu, które nie przywykły do widoku ludzi w samotności, w jakiej żył na Malacie. Osiadł tam po pięciu latach niebezpiecznych przygód i poszukiwań.

— Faktem jest jednak, — rzekł, — że u siebie, na Malacie nie przyglądam się nikomu dokładnie. Nie zwracam uwagi na moich robotników.

— A my tutaj nie zwracamy uwagi na przechodniów i to jest jedyny zdrowy punkt widzenia.

Gość nic na to nie odpowiedział z obawy przed dyskusją. Nie przyszedł do biura redaktora dla dyskusji, lecz po informacje. Ale nie mógł się zdecydować na przystąpienie do rzeczy. Samotne życie czyni człowieka wstrzemięźliwym w stosunku do plotek, chleba powszedniego tych, którzy języka używają zwykle do obmowy bliźnich.

— Czy bardzo jesteś zajęty?

Redaktor, kreślący czerwonym ołówkiem na zadrukowanym skrawku papieru, rzucił go i odparł:

— Nie. Właśnie skończyłem rubrykę towarzyską!

W tem biurze wie się wszystko o wszystkich, nawet o wielu ludziach bez znaczenia. Niejeden dziwny człowiek przewinał się przez ten pokój. Byli tu ludzie wypędzeni z domu, z wnętrza kraju, rozbitki z oceanu Spokojnego... Ale, ale, prawda, jak tu byłeś ostatni

az, zgodziłeś sobie jednego z nich na pomocnika, prawda?

— Wziąłem sobie pomocnika jedynie, aby zapobiec twoim kazaniom o złych skutkach samotności— odparł śpiesznie Renouard, a dziennikarz roześmiał się z jego nawpół obrażonego tonu. Śmiał się niebardzo głośno, ale otyła jego postać trzęsła się cała. Wiedział, że młody przyjaciel posłuchał jego rady, niebardzo jednak wierząc w jego rozum i przenikliwość. Lecz on to pierwszy dopomógł mu w jego pięcioletniej ekspedycji naukowej, doprowadzonej do końca z wielkiem powodzeniem, po wielu przygodach, niebezpieczeństwach, trudach i ciężkiej pracy, ekspedycji, wynagrodzonej skromnie przez oszczędny rząd kolonii wydzierżawieniem Renouard'owi wyspy Malaty. Dzierżawę tę zawdzięczał także dziennikarzowi, który będąc w swym społeczeństwie człowiekiem wpływowym, wywalczył ją słowem i piórem. Wątpił w sympatię Renouard'a dla siebie, ale i on sam nie sympatyzował z pewnymi stronami jego charakteru, których nie mógł zrozumieć; czuł jednak niejasno, że one to właśnie stanowią rzeczywistość, prawdziwą, a bodaj, czy nie absurdalną naturę Renouard'a. Tak, na przykład, było ze sprawą pomocnika. Renouard uznał za słuszne argumenty swego przyjaciela i protektora o nie-

zdrowym wpływie samotności, uznał, że lepszy jest od niej niezgodny nawet towarzysz. Doskonale, posłuszeństwo jego było rozsądne, nawet przyjemne. Lecz cóż potem uczynił? Zamiast w sprawie wyboru towarzysza poradzić się swego przyjaciela i protektora, który, w dodatku, znał w mieście wszystkich ludzi zajętych i niezajętych, ten niezwykły człowiek, niespodziewanie, prawie podstępnie, przygarnął, Bóg wie kogo i czemprędzej odpłynął z nim zpowrotem na Malatę; było to postępowanie oczywiście nierozważne i niezbyt lojalne.

Oto, jak się ta sprawa przedstawiała.

Dziennikarz w głębi serca nie mógł mu tego wybaczyć, śmiał się też dugo, aż wreszcie przestał się trząść i zapytał:

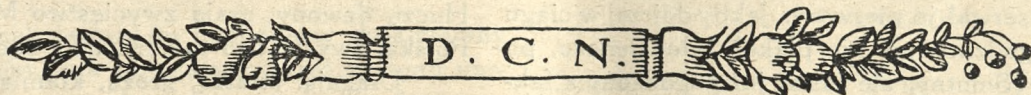
— Ale, prawda. Opowiedz mi co o swym pomocniku...

— Cóż ci opowiedzieć o nim—odparł Renouard po chwili, a cień niezadowolenia powlekl jego rysy.

— Nic mi nie masz do powiedzenia?

— Nic, tylko...—Przeżalenie przemknęło po twarzy Renouard'a i zmieniło na chwilę głos jego, gdy zastanowiwszy się przez chwilę poważnie, zmienił widocznie swój pierwotny zamiar i rzekł:

— Nie, nie mam ci nic do powiedzenia.



HELENA CEYSINGERÓWNA

14

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

— Trzeba powiedzieć teraz! Bo może tybys nie chciał potem... możeby ci było wstrętne, żebym ja temi rękami piastowała twoje niewinne dzieciątko, może tybys sam mnie się bał...

Artur słuchał, przerażony, i nie protestował już, nie bronił się, urzeczony siłą jej cudzego głosu, opanowany władzą, co z głębin jej wewnętrznej istoty ku niemu szła.

Wtedy ona wybuchnęła nagle.

— To ja otrułam Gołowinskiego.

On cofnął się, wstał i, milcząc, odszedł w drugi róg pokoju. Tam stanął z pochyloną głową i twarzą w rękach ukrytą.

Po chwili Lotka podeszła doń.

Piersią chłopca wstrząsało głuche, rozpaczliwe łkanie,

— I pociś ty mi powiedziała? I pociś ty powiedziała!

— A widzisz... już mnie teraz... nie chcesz... ja wiedziałam... A gdyby potem... po ślubie... odwróciłbys się... odepchnął byś...

Artur szlochał. Wtem wybuchnął nagle.

— Czemuś to zrobiła?! Czy pomyślałaś, że zabijasz nasze szczęście?!

— Pomyślałam — odparła głucho Lotka — złożyłam je na ofiarę za ten... grzech!...

Artur zmagiał się z sobą, załamywał ręce i znowu wybuchwał łkaniem. Była chwila, że siedzącej na fotelu Lotce złożył na kolanach głowę i płakał, jak dziecko.

— Bądź cicho, braciszku maleńki mój! Przebaczył Zapomnij! Stworzony jesteś do szczęścia, do kochania! Znajdziesz na świecie taką jasnowłosą, słodką, łagodną, miłą... O Lotce złej, straszliwej, zapomnij! Jej droga inna! Tylko jej nie potępiaj! Jej rozrachunek jest z samym Bogiem tylko...

Artur zerwał się nagle. Błysnął mu promień nadziei.

— Ja w to nie wierzę! Ty kłamiesz! Żeby stworzyć zaporę między sobą, a mną! Żeby mnie oddalić, żeby zerwać! Tyś wymyśliła tę całą historję! Nie może być inaczej! Tyś wymyśliła!

— Zastanów się, Arturze! Któżby siebie takim oskarżeniem obarczał?! Zerwać mogłabym przecież inaczej. Nie kłamie! Przysięgam ci na pamięć ojca! Wierzysz już teraz? prawda?...

— Nie wierzę! Przywidzenie jakieś! obłąd, histeryja! zbieg okoliczności, że on umarł... Kraj warjatów! Przypominam przecież, mówiono w domu o sekcji zwłok tego łajdaka. Śladów trucizny nie wykryło śledztwo...

— A nie! takie trucizny nie zostawiają śladów... Nie umarł też nagle...

Gdy to mówiła wolno, cicho, po ustach jej błękał się uśmiech dziwny, coś, co było między uśmiechem, a płaczem.

I Artur teraz dopiero jakby docenił głębinę przepaści, taką zgrozą otwarły mu się oczy, taki śmiertelny poczuł do niej wstręt. Odsunął się i było między nimi długie, bardzo długie milczenie... dusze dopowiadały sobie to, czego nie mogły słowa.

Artur przerwał je pierwszy. Jakby dojrzał w ciągu tej strasznej godziny, już nie płakał młodzieńczo, po dziecinnemu. Smutny, ale jakby już pogodzony z faktem, zapytał poważnie:

— I jak ty teraz żyć będziesz?

Lotka spuściła głowę.

— Ciężko będzie.

— Czem wypełnisz życie? Jaki cel?

— O, wypełnić jest czem! Chodź, pokażę ci. Otworzyła drzwi sąsiedniego pokoju.

Pod ścianami stał szereg kolebeczek, a w nich śpiące niemowlęta.

Czworo starszych bawiło się na podłodze. Słońce zimowe zalewało pokój bladą poświatą.

— Widzisz. One się do tych moich rąk przeklętych pogarną, jak do matczynych... I im to nie będzie obrazą...

Wtem sierotki unickie wzięły się za ręce i zaczęły tańczyć w promieniach światła.

Patrzyli wzruszeni.

— Widzisz, jak słońce spija rosę, tak łyż ludzkie...

X.

Wprowadzono w ruch wszystkie czynniki oficjalnej pompy. Wojsko, policja, czynownicy, gromady popów w długich, kolorowych rasach, mniszki i monachy z długimi, jak u kobiet, włosami. A nad tem wszystkim od rana huczy dzwon...

Dzisiaj przyjeżdża do Leśnej najwyższy dostojnik prawosławnego kościoła w Carstwie Polskiem, archirej Joanicjusz.

Słynny cudami obraz Bogarodzicy, odebrany duchowiestwu katolickiemu, już od kwietnia stał się własnością prawosławia. Archirej przyjeżdża oddać pokłon cudownemu obrazowi, odprawić przed nim uroczyste prawosławne nabożeństwo. Ciągną z dalekich stron pielgrzymi. Ciemne sukmanki podlasiaków mieszają się z barwnymi strojami włościan z za Bugu. Szlachta zagonowa, oficjaliści pańscy, dwory nawet. Wozy, powozy, bryki, waszki, półkoszki, rzenie koni, ścisk... Po rynku przewalają się gwarne fale ludu...

Czy stary ściągnął ich tu wszystkich obyczaj, tradycja odpustu w dzień Niepokalanego Poczęcia, czy ciekawość, czy nadzieja, że świętość okaże moc?

Tłumy zbiegły się nieprzebrane. A dzwon to zanoszą się cienkim drobnym dyszkantem, to huczy, jak Boży grom...

Policja biega tu i tam, utrzymuje porządek, zdenerwowana, wietrząca niebezpieczeństwo...

Punktualnie, o godz. dwunastej rozkołysały się wszystkie naraz dzwony. Głoszą triumf prawosławia nad zbatożoną na śmierć Unją, nad zepchniętym na ostatni plan, podejrzanym państwem, katolicyzmem. Huczą dzwony, grają zwycięstwo Moskwy nad umarłą Polską, zwycięstwo materji nad duchem...

Urągają, straszą, grożą, kłamią...

U wylotu długiej ulicy, której obramieniem były tłumy ludu, w karnym porządku utrzymywane przez policję, ukazał się zaprzężony w sześć siwych koni otwarty powóz Archireja. Zajaśniały w blaskach sierpniowego słońca fiolety, rozpalily się tysiącem isker szczerozłote krzyże i łańcuchy, wysokie kołpaki, długie brody, falujące pukle siwych włosów...

Zwycięskie, triumfujące, wspaniałe... jedzie prawosławie.

Ale archirej był blady i zmieszany.

Tyle już doznał od „nawróconego“ ludu objawów, których w żaden sposób za oznaki czci i poobożności uznać nie było można!

Wizytacja „nawróconych“ parafij podlaskich nie była, doprawdy, ani zaszczytem, ani pokarmem dla duszy dostojnej. Musiano estatecznie umorzyć sprawy, wytoczone zwłaszcza zuchwałym niewiastom, tak to wszystko było śmieszne, nieprzystojne, kompromitujące! Cóż spotka go tu, na miejscu, przesiąkniętem, niejako, czarami katolików?...

Ale tłumy tym razem stały ciche i milczące, jakby zastygły w oczekiwaniu..

Dzwon dzwonił.

Dostojnik odważył się spojrzeć po tłumie. Twarze były ponure, blade, świecące skrami oczu... (d. n.)



K. MUSZAŁÓWNA

NARCIARKI CHLUBĄ SPORTU POLSKIEGO

Dobiega końca sezon narciarski 1926/27 rok. Poza sobą już mamy wszystkie najważniejsze zawody narciarskie, do historii przeszły wydarzenia, sukcesy i porażki poszczególnych jednostek.

Egzamin ze sprawności indywidualnej skończony; naturalne stopnie wpisane zostały ostatecznie na indeksy poszczególnych zawodników, wystawiając im decydujące świadectwo dojrzałości narciarskiej.

Jeszcze parę krótkich tygodni, jeszcze trochę pomniejszych zawodów, jeszcze kilkanaście wycieczek turystycznych w góry, pokryte kolorowym od promieni słońca śniegiem. A potem — sprzęt narciarski pójdzie w ką, zwolennicy tego królewskiego sportu — z otwartej bieli śnieżnej, gdzie każda niewyznaczona droga prowadzi do celu upojenia najpiękniejszym ze sportów, jednym skokiem przerzuca się na zielone boiska stadionów. W oczekiwaniu nowego całunu śnieżnego zajmować się będą innymi sportami, walczyć będą o doskonałość na innym terenie, z inną bronią w rękę.

Zanim jednak nastąpi ów decydujący skok zmiany sezonów — rzućmy na ubiegający okres zmagania narciarskich ostatni rzut oka, obejmującego całość wypadków i wydarzeń, ustanawiającego ostateczny rezultat odniesionych sukcesów i poniesionych porażek.



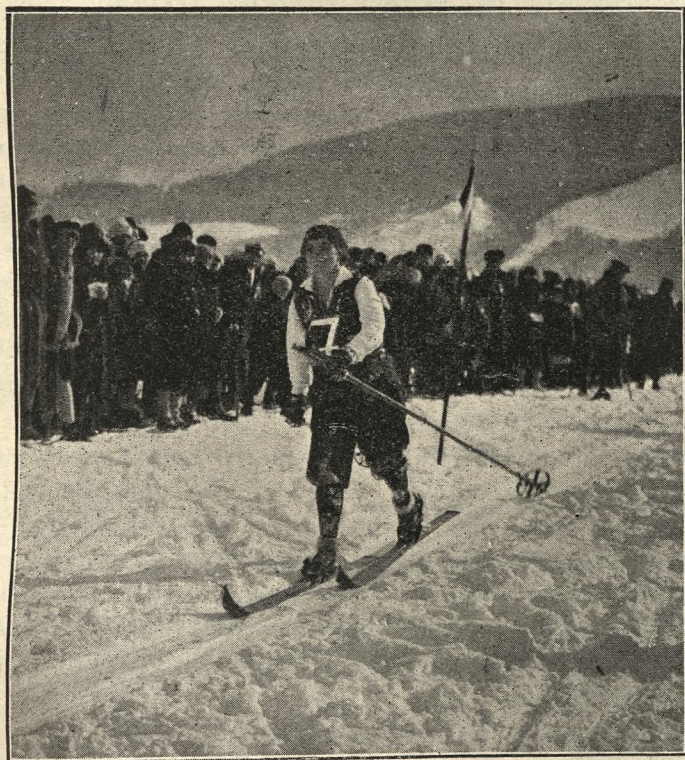
Stanisława Staszal-Polankowa, piętnastoletnia góralka, czołowa narciarka polska

Zsumujemy tu — rzecz prosta — specjalnie dorobek naszych narciarek, dorobek, którego nie powstydziłoby się żadne państwo w Europie, a który wysunął ostatecznie narciarki polskie do międzynarodowej extra-klassy narciarskiej — niemal bezkonkurencyjnej.

Pod względem liczby zorganizowanych zawodów narciarskich, w których startowały panie, sezon ubiegający był bardzo bogaty. W zawodach tych, niestety, nie brała udziału dostatecznie liczna reprezentacja narciarek polskich. W porównaniu z dużą cyfrą pań, uprawiających w Polsce sport narciarski, liczba zawodniczek jest niewspółmiernie mała. Widocznie istnieją jakieś przyczyny, odwracające uwagę naszych narciarek od zawodów. Na przyczyny te należałoby zwrócić baczniejszą uwagę i — w interesie sportu narciarskiego — postarać się o ich usunięcie.

Biorąc pod uwagę rzeczoną fakt, co do małej liczby startujących w zawodach pań, tembardziej podkreślenia godnym jest zjawisko, iż — pomimo braku dostatecznie licznej konkurencji — klasa czołowych zawodniczek stoi dziś tak bezkonkurencyjnie wysoko. Istotnie, posiadamy aż trzy zawodniczki, z których każda oddzielnie na terenie międzynarodowym jest klasą sama dla siebie, aczkolwiek w kraju, w konkurencjach wewnętrznych, wykazują pewne uszeregowanie swych sił, gdy chodzi o niezaprzeczoną palmę pierwszeństwa.

Do klasy najlepszych naszych narciarek wchodzi trzy panie: Ela Michalewska-Ziętkiewiczowa, Janina Loteczka i Stanisława Staszal-Polankowa.



Ela Michalewska-Ziętkiewiczowa, pionierka kobiecego narciarstwa polskiego. włoska „królowa nart“



Janina Loteczkowa, najlepsza narciarka polska, po zdobyciu tytułu mistrza Polski.

Zpóśród wymienionych trzech pań bezsprzecznie najlepszą dziś zawodniczką polską jest Janina Loteczkowa.

Pochodzi ona ze Lwowa, gdzie znaną jest w świecie sportowym od szeregu lat ze swych licznych, bezkonkurencyjnych występów w jeździe na motocyklu. W sporcie narciarskim pierwszy poważniejszy sukces odnosi w roku ubiegłym, zdobywając poraz pierwszy tytuł mistrzyni Polski.

Sezon ubiegający jest świadkiem szeregu po sobie następujących sukcesów p. Loteczkowej, i to zarówno w kraju, jak zagranicą. Zdobywa w sezonie tym podwójne mistrzostwo pań: Francji i Polski. Startując we Francji, zwraca na siebie uwagę całego zagranicznego świata sportowego. Prasa zagraniczna poświęca jej wiele przychylnych wzmianek, wyrażając się z uznaniem zarówno o wspaniałej technice, jak brawurze i pięknym jej stylu. Obecna forma p. Loteczkowej pozwala wróżyć lwowskiej narciarce wiele jeszcze sukcesów w ulubionym jej sporcie.

Na drugim miejscu w czołowej grupie narciarek polskich postawić należy p. Elę Ziętkiewiczową. Jest to najstarsza nasza zawodniczka narciarka, dowodem czego choćby jubileusz piętnastolecia jazdy na nartach, jaki obchodzi w roku bieżącym. Pani Ziętkiewiczowa, ustępująca dziś w kraju jedynie Loteczkowej, ciągle jeszcze należy do bezkonkurencyjnej extra-klasy międzynarodowej. Przez szereg lat słusznie uchodzi za najlepszą narciarkę środkowej Europy. Posiada w swej historii narciarki-zawodniczki przepiękne karty licznych sukcesów. W sezonie ubiegającym brała udział w licznych zawodach krajowych, zdobyła zaszczytne drugie miejsce w mistrzostwie Polski, oraz tytuł „Królowej nart“ w zawodach międzynarodowych, organizowanych we Włoszech.

Poza dominującymi w obecnym narciarstwie kobiecym dwiema narysowanymi szkicowo sylwetkami, wysuwa się cień trzeciej, bardzo jeszcze młodzieńczej, zbyt młodzieńczej nawet, jak na zawodniczkę, narciarki, zapowiadającej się już dziś, jako fenomenalny talent narciarski. Narciarką tą jest młoda, piętnastoletnia góralka, Stanisława Staszek-Polankowa, pochodząca z Zakopanego.

Góry były kolebką małej Staszekówny. Narty—naturalnym środkiem poruszania się na terenach górskich, pokrytych śniegiem, od lat, dosłownie, dziecięcych.

Dziś, mając lat piętnaście, nie tylko należy do „wiary“ narciarskiej, nie tylko zdumiewa swą bajeczną techniką i opanowaniem w tym królewskim sporcie, lecz — co więcej — wykazuje w nim uzdolnienie fenomenalne, zadziwiająco wytrzymałość i brawurę, zaciętość w walce, godną prawdziwych lwiat sportu. Nie jesteśmy dziś jeszcze w stanie zdać sobie w pełni sprawę ze wszystkich walorów, ze wszystkich szans, jakimi w narciarstwie rozporządzać będzie młoda góralka: ze względu na młody wiek — Staszekówna rzadko staje do zawodów w obawie przetrenowania i przeforsowania młodzieńczego organizmu. Staszekówna jest narciarką przede wszystkim przyszłości, jest godną następczynią swych — dziś najgroźniejszych — rywalek, p. p. Loteczkowej i Ziętkiewiczowej, jest tym rezerwoarem młodych sił, który pozwala wróżyć polskiemu narciarstwu kobiecemu odgrywanie w dalszym ciągu roli pierwszych skrzypiec na terenie międzynarodowym.

Obok naszkicowanych trzech gwiazd pierwszej wielkości, błyszczących na horyzoncie polskiego narciarstwa kobiecego, grupują się — nieliczne niestety — konstelacje gwiazd drugo- i trzeciorzędnego znaczenia. Na wymienienie zasługują: p.p. Gwizdałówna i Bogucka ze Lwowa, Dubieńska z Krakowa, dr. Topielówna z Krakowa, dalej Pankowska, Giewontówna i kilka innych.

(c. d. n.)



Kobieta w świecie i w domu

KILIMY I LALKI POLSKIE NA MIĘDZYNARODOWYM KIERMASZU RADY KOBIET W HADZE

Rada Narodowa Polek wzięła udział w Międzynarodowym kermaszu, urządzanym w Hadze w dn. 23 — 25 marca na rzecz Międzynarodowej Rady Kobiet.

Polska Rada wysłała na kermasz szereg pięknych darów, o charakterze propagandowym, bo związanych wybitnie z naszym przemysłem artystycznym i tradycjami polskimi.

Są więc w dziale polskim kilimy, wełniaki, wstążki, intarsje drzewne, zabawki, wycinanki, bogaty zbiór pocztówek z widokami i zabytkami polskimi, oraz 10 lalek w strojach ściśle etnograficznych.

Z ramienia Rady Narodowej Polek wyjeżdża do Hagi jej przewodnicząca, senatorka Szebekówna.

NIEBEZPIECZNE KOBIETY XX STULECIA

Są niemi, jak się okazuje, piękne i zamożne panie z najlepszych sfer towarzyskich, w każdym kraju cywilizowanym, pozornie czynne, w rzeczywistości zaś, beczynne, które stają się groźnym niebezpieczeństwem dla cywilizacji XX wieku.

Na temat powyższy, ciekawy i niezwykle aktualny, toczyła się dyskusja w Londynie na radjostacji nadawczej.

Dyskusji tej pomiędzy znaną działaczką społeczną Mrs. Rhodda, a znakomitym pisarzem Anglii, C. K. Chestertonem, przewodniczył sam Bernard Shaw!

Mrs. Rhodda w słowach mocnych i przekonujących skreśliła sylwety współczesnych rozbawionych dam, których całym zajęciem przez długi sezon jesienny i zimowy jest organizacja coraz to nowych bałków, pikników, kermaszów, zabaw towarzyskich i coraz to efektywniejszych przyjęć.

Pozornie, przez cały dzień zajęte, zaferowane i czynne, śpieszące z posiedzeń komitetów na próby teatrów amatorskich i t. d. wokoło — w rzeczywistości trwonią drogi swój czas i pieniądze, a często zdrowie na sprawy błahie i bezowocne.

Jak zapobiec temu niebezpieczeństwu dla cywilizacji wszystkich krajów w okresie zatrwającej nędzy powojennej? Co zrobić z temi niczem, właściwie, nie zajmującymi się paniami, które stają się wyrzutem sumienia całego społeczeństwa danego narodu? — zapytuje Mrs. Rhodda. Odpowiada: niebezpieczeństwo to może być usunięte tylko przez te same damy, przez zmianę trybu życia i przez „zlikwidowanie“ tej ustawicznej beczynności.

C. Chesterton podchodzi do tego „niebezpieczeństwa“ z innego punktu widzenia. W słowach dow-

cipnych i pełnych humoru dowodzi przed „aparatem radjowym, że największym nieszczęściem ludów północy jest brak czasu... na myślenie.

Nie zmuszono ich nigdy — myśleć — to też należałoby zarówno mężczyznom, jak i kobietom pozostawić jaknajwięcej wolnego czasu na — myślenie.

W tym wypadku, kobiety, nie pracujące zawodowo, przez skreślenie ze swego życia wszystkich tych żmudnych zajęć „dobroczyńnych“, miałyby najwięcej czasu i wspaniałą okazję... zajęcia się myśleniem i uprzyjemnieniem życia wszystkim członkom swojej rodziny.

H. S.



WARSZAWA PRACY I ZAPAŁU W DNIU 13 MARCA ODDAŁA HOŁD ZASŁUGOM MARJI RODZIEWICZÓWNY



W pierwszym rzędzie siedzą: Marszałek Senatu Trąpczyński, Marja Rodziewiczówna, Wojewoda Soltan, Arcybiskup Ropp i Minister Dobrucki

Na nabożeństwie w katedrze i na uroczystej akademii w ratuszu zebrała się niezwykle sympatyczna, jak na dzisiejszą Warszawę, publiczność, w celu uczczenia 45-cio lecia pracy literackiej Marji Rodziewiczówny.

Dwa pokolenia, jak dwa słupy graniczne, zetknęły się z sobą: jedno—współczesne jubilatce, drugie—wrosłe w blasku ideałów, promieniejących z każdej jej książki.

Przemówienia prezesa Zdzisława Dębickiego, prof. Wóycickiego, senatorki Szebekówny i innych gorzały tym ogniem serdecznym, który w jeden łańcuch dusz bratnich stopił dwa ogniwa: twórcę i czytelnika. A gdy sztandary stowarzyszeń pochyliły się przed jubilatką, nie był to, zaiste, gest konwencjonalny szablonowego obchodu, ale korny pokłon wobec tej, która, jak chorąży wierny i nieustraszony, wciąż całego swego pracowitego żywota trwała przy sztandarze.

KOBIETY POLSKIE W WALCE
Z ALKOHOLEM



W prezydjum siedzą pp.: Zaleska, Pełczyńska, pos. Puzynianka,
Wejchort-Szymanowska i Sędzia Sądu Najw. Glass

Antialkoholowe Tow. „Trzeźwość“ zorganizowało w dn. 12 marca w sali Centralnego Tow. Rolniczego międzystowarzyszeniową konferencję polskich organizacyj kobiecych w sprawie walki z alkoholizmem. Konferencję zaszczyliła swą obecnością p. Prezydentowa Mościcka.

Konferencja przyjęła jednomyślną rezolucję, wzywającą wszystkie organizacje kobiece do energicznej walki z klęską alkoholizmu, oraz ciała prawodawcze i rząd do poparcia podejmowanej akcji.

PROTEST KATOLIKÓW POLSKICH
PRZECIW PRZEŚLADOWANIU KOŚCIOŁA
W MEKSYKU



W d. 13 marca w Colosseum odbył się wiec, protestujący przeciw prześladowaniu Kościoła katolickiego w Meksyku.

Z TEATRÓW

GMACH KONSERWATORJUM

„Lekarz mimowoli“. Komedja w 3-ach aktach *Moliera*.
W wykonaniu szkoły dramatycznej.

Molier należy do tych nielicznych twórców teatralnych, których ani czas, ani zmienność gustów publiczności nie zdołała obezwładnić. Dowcip jego subtelny i bystry, zawsze jeszcze ma nam coś do powiedzenia, pomimo wyostrenia (a może—stępienia) naszych wymagań, rozsmakowanych w komedjach różnych spółek nowo-francuskich. Pomimo prymitywizmu intrygi, komedje Moliera pociągają niesłychanym bogactwem czynników twórczych, a my widzowie, patrzący na nie oczami, wyrobionymi przez 3 wieki uporczywego patrzenia, widzimy coraz to nowe cudowności. Dzięki temu, można Moliera rozumieć i grać na sto różnych sposobów, choć, mojem zdaniem, im prościej, tem lepiej.

Bratnia Pomoc Słuchaczy oddziału Dramatycznego przy Konserwatorjum Muzycznym, wystawiając dn. 20 b. m. „Lekarza mimowoli“, usiłowała pójść drogą, wskazaną przez Teatr Polski, i dać nam Moliera stylizowanego. Usiłowanie to, cokolwiek chybione, popsło tylko przedstawienie, zupełnie dobre, jeżeli chodzi o grę. Stylizacja ta, bowiem, zaznaczona była tylko gdzieniegdzie dość chaotycznie i niekonsekwentnie, jeżeli chodzi o syntezę wrażenia, a polegała jedynie na fantastycznych poręczach krzeseł, oraz rozpaczliwej wprost charakterystyce.

Mam wrażenie, że tego rodzaju dążenia dekoracyjne wpłynęły poniekąd i na grę aktorów, którzy, zamiast utrzymać się na terenie farsy, gdyż „Lekarz mimowoli“ takiego zrozumienia wymaga, popadli w groteskę, przejawiając zbytnio niektóre typy (np. p. Rokossowski, jako Łukasz).

Najlepszym, bezwzględnie, aktorem jest p. Gloksin, który, jako stary Thibault, dał świetnie zagrany epizod. Dobrym był również p. Ciecierski (Sganerel), oraz p. Cechnicka (Jagusia). Natomiast para amantów: p. Herszafówna (Lucynda) i p. Michalak (Leander) grali słabo. P. Herszafówna, która przez trzy czwarte sztuki ma rolę niemą, „zgrywa się“ przez cały czas, a te kilka słów, które mówi pod koniec, mówi zupełnie źle. Krzyczy, natomiast, doskonale. Reszta aktorów poprawna, a cały zespół dość dobrze zgrany, szczególnie w II i III akcie. Akt I zaś miał cokolwiek za wolne tempo. Dobrym, choć już nieco zużyтым, pomysłem reżyserskim było wprowadzanie aktorów na scenę poprzez widownię.

Z. M.

DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

ZNIŻKA 33%

przy prenumeracie kwartalnej miesięcznika ilustrowanego dla wszystkich p. t.

„NA FALI“

Nietylko naukę i pożytek, ale zdrową rozrywkę w estetycznej formie nieść powinno słowo drukowane.

W myśl tej zasady chcemy udostępnić czytelnikom naszym nowe wydawnictwo, dając im za 3 złote prenumeraty kwartalnej 3 numery „Na fali“, których cena w handlu księgarskim wynosić będzie 4 zł. 50 gr.

„Na fali“ zawiera ciekawe nowele, humoreski, obrazki egzotyczne, listy z podróży przez specjalnych korespondentów, artykuły popularno-naukowe z dziedziny nowych odkryć i wynalazków, z zakresu architektury, sztuk pięknych, sportu, życia towarzyskiego, tańca, teatru, kina i t. p. Daje obraz życia współczesnego w szeregu artystycznie wykonanych ilustracji.

Specjalną uwagę poświęcać będzie kącikowi humorystycznemu i działowi rozrywek umysłowych.

Każda z Czytelniczek „Bluszczu“ powinna natychmiast przesłać prenumeratę kwartalną 3 zł. na konto P.K.O. 14,400.

„Na fali“ ukazywać się będzie w końcu każdego miesiąca — pierwszy numer już wyszedł z druku.

Adres Redakcji — Krakowskie-Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.



WYROBY Z RAFJI

Wszyscy znamy rafję, prawie wszyscy wiemy, że jest ona włóknem roślinnym, dostarczanem z pewnego gatunku palm, rosnących na Madagaskarze, ale mało kto wie, że to włókno mocne i giętkie, da się używać nietylko jako łyeczko do wiązania bukietów, szczepienia drzewek i przywiązywania różnych roślin do palików, ale że z jego splotów wyrabiać można przedmioty i drobiazgi, służące tak do ozdoby, jak i do użytku w letnich mieszkaniach.

Dajemy tu kilka rysunków rzeczy, których wykonanie, oprócz uprzyjemnienia czasu, pozwoli ładnie przyozdobić w lecie naszą siedzibę. Na grubej kanwie, na którą przenieśliśmy deseń, haftować można różne drobne przedmioty, jak worki do bielizny, poduszki na werandę, serwetki do podawania miękkich jaj, podstawki pod wazon i t. p. Aby haft wypadł ładnie, trzeba przede wszystkim mieć równe łyeczka, najlepsze są szerokie na ćwierć centymetra, — rozpoczynając zatem robotę, trzeba przygotować jednakowe żdźbła i pozszywać je ze sobą. Iglą kanwową przeciągamy nitki, mocno dociągając, aby szczelnie wypełniły kratki, a tło zaszywamy krzyżykami. Dużo urozmaicenia robotcie dodaje różnobarwne zestawienie kolorów i cieni, które choć pozornie nie zgadzają się ze sobą, mimo to żywym kolorytem bajeczny robią efekt. Slicznie wygląda np. poduszka: na tle jasno-kawowem odpowiednimi kolorami wyhaftowana. Najodpowiedniejsze do haftu rafją są wzory nowoczesne, łatwe do wykonania, o linjach mało skomplikowanych, w których duże płaszczyzny można pokrywać atłasem, lub szeregim ściągów ozdobnych.

Żdźbłami rafji można wyhaftować ładny deseń na płótnie kolorowem, lub szarem — na przykrycie improwizowanego, lub zniszczonego kosza do papierów.

W takiż sposób wykonać można laufry, makaty, dywany i t. p., chodzi tylko o wybranie efektownych

deseń, śmiało dobranie kolorów i gustowne ich zestawienie.

Po skończeniu tej miłej i prędkiej roboty, przed podbiciem podszewką, trzeba brzeg objąć wypustką odpowiedniego koloru, albo gęsto obdzierać sznurkiem.

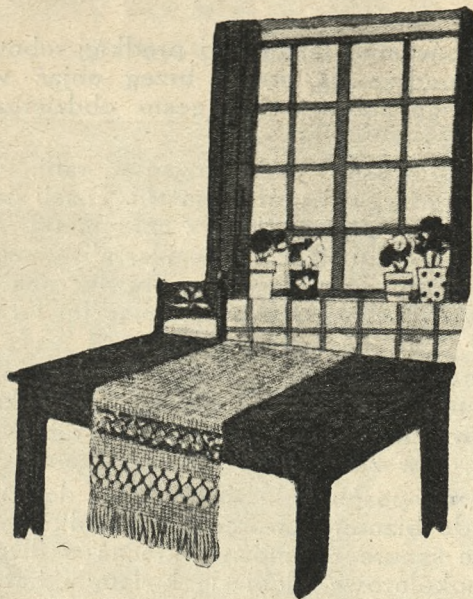
Trzeci sposób zużytkowania rafji, nie wymaga ani kanwy, ani płótna na tło. Dzieli się włókna rafji na cienkie niteczki 4—5 z centymetra. Te nitki skręca się na sznureczek, uważając, aby wszędzie był równej grubości, igłą kanwową, nawleczoną żdźbłem rafji, zeszywa się sznureczki, nadając im formę odpowiednią.

Wkłuwając igłę w poprzedni sznureczek raz — zwięza go się, dwa razy — rozszerza. Jest to delikatniejsza, że tak powiem, subtelniejsza odmiana roboty mat, lub słomianek, — w zasadzie jednak — ta sama.

W ten sposób robi się pudełka do cukierków, szkatułki do biżuterji, woreczki, okładki do książek etc. Takie sznureczki można skręcać w dwóch kolorach; jednokolorowe zdobi się kwiatami, haftowanemi włóczką, bawełną merseryzowaną, lub rafją; koszyczki na chleb, kosze do papierów, maty na podłogi robimy w ten sam sposób; licząc się jednak z większymi rozmiarami robionych przedmiotów, skręcimy sznurki z włókien centymetrowej szerokości, tak, aby miały grubość małego palca, i zeszyjemy je ze sobą rafją co 10 centymetrów. Jeżeli dodamy, że z rafji, podartej na niteczki, robić można koronki „frivolité“ i szydełkowe, delikatne kapelusze, a robotą wiążaną, „macramé“ zwaną, w połączeniu z grubą merseryzowaną bawełną o żywych kolorach, piękne wiązane serwety i makaty na ścianę, — przekonamy się, że użytek z rafji jest niewyczerpany.

Na Madagaskarze, w krainie, która produkuje rafję, włókna jej tkają się na warsztacie. Każdy tkacz ma inne





wymiary, ale ogólnie przyjęte są sztuczki na 2 mt. 50 cm. do 3 mt. długości—50 do 55 cm. szerokie. Te plecionki, czyli rogoże, bywają koloru naturalnego, matowo-żółtawe, albo paskowane, żółte z zielonym, np. Końce z obu stron mają u dołu frendzlę, powstałą z nitek — stanowiących osnowę.

Podatną do wszelkich robót i ozdób rafję kraje się ostremi nożyczkami na paseczki, zeszywa je się igłą, nawleczoną w nawoskowaną nitkę, żeby je zrobić bardziej giętkimi, moczy się je w wodzie, a wtedy otrzymujemy robotę równą i ścisłą. Rafję farbuje się łatwo, jak płótno, najlepiej farbą na zimno. Firanka z rafji w żywym kolorze, utkana, lub zrobiona szydełkiem, zakończona frendzlą z krętej bawełny, robotą wiązaną, nadaje mieszkaniu pozór wesoły i egzotyczny. Ze sztuczki takiej plecionki można zrobić zazdrostki, lub ściągane firanki do okien, które w upały, skroplone wodą zapomocą rozpylacza, dodają świeżości i chłód powietrze. Dla odstraszania przykrych owadów jak: muchy i komary, przyczepić można gdzieś niedaleko do firanki po kilka ździebeł perzu, którego nie znoszą, a wtedy cały dzień można mieć okna otwarte.

Serwety, tkane z rafji, zachowują długo czystość, a przynosząc oszczędność w praniu, używane są na letniskach na stoły jadalne. Takie serwety zakończą się prosto wiązaną frendzlą z osnowy, lub wykończą mereżką w mniej, lub więcej bogaty deseń. Pletnie z rafji można ozdabiać wzorami, malowanymi przez szablony, wycięte z tektury. Trzeba to robić lekko, cieniutkim pendzelkiem, aby brzegi nie zaciekły.

Na serwecie ogrodowej z grubego, szarego płótna położony laufer z różowej rafji, przybrany ażurami i mereżką fiołkową, ładnie będzie odbijał.

Na wszystkich stołach, stoliczkach, potrzebujących nakrycia, porozrzucić można serwetki podłużne, owalne, kwadratowe z rafji, przyozdobione haftem, malowaniem, lub aplikacją. Jeżeli chodzi o zakrycie zniszczonych ścian, rogoże z rafji, haftowane, lub malowane, doskonale nadadzą się do tego celu.

Parawanik o trzech skrzydłach, obciągnięty pletnią z rafji, malowany w odmienne na każdym skrzydle

deseenie, nałożony wypukłymi kwiatami z rafji, lub płasko haftowany, rogoże—zamiast dywaników przed łózkami, maty pod stołem jadalnym i na cegiełkach werandy—zrobią z prowizorycznego mieszkania istne podzwrotnikowe cacko. Równie miłe zastosowanie znajdzie rafja w ogrodzie. Pletniami pokryjemy leżaki, jako zasłony od słońca, rozciągniemy maty między drzewami; grubsze rogoże służyć nam będą za hamaki, które, zapomniane na noc w ogrodzie, jaknajlepiej zniosą deszcz i rosę.

Nieoceniony ten produkt da się zeszywać, lub lepić gumą, klajstrem i żelatyną, a jeśli jest dobrze po zlepieniu wygładzony nożem, lub, o ile robota na to pozwala, wyciśnięty pod prasą, trzyma się bardzo mocno.

Jak widzimy, rafja jest wszechstronnie użyteczna, wyroby z niej są mocne i tanie.

Zagranicą cieszy się szerokim zastosowaniem.

U nas dotąd zaledwie w ogrodach, w szkółkach freblowskich i do wyrobów galanteryjnych używana bywa.

To też nie jest rozpowszechniona w handlu i trudno jej dostać w ładnym gatunku i kolorze.

Spróbujmy wprowadzić ją w modę, wyrabiamy z niej przedmioty powyżej wskazanymi sposobami, a prędko rozwinie się przemysł, pożyteczny, łatwy i bardzo tani.

Ponieważ popyt stanowi o podaży, żądajmy w sklepach rafji w pięknych kolorach i gatunkach, a wkrótce zarzucone nią będą.

Pragnąc zachęcić czytelniczki nasze do robót z rafji, podawać będziemy stale wzory różnych przedmiotów, z niej wykonanych.

J. S.



ZDOBIENIE ROŚLINAMI MIESZKAŃ I STOŁÓW JADALNYCH DAWNIEJ I DZIŚ

KILKA WSKAZAŃ

Dekoracja stołów jadalnych, choć może być poniekąd dowolna, to jednak niezbędnym jest zastosowanie prawideł wymienionych, jeśli całość ma wyglądać dobrze.

Przedewszystkiem nie powinna być ciężką, zbyt sutą, gdyż taka stanowczo wypada brzydko. Niektóre osoby, chcąc okazać swą zamożność i domniemany gust, przeładowują prosto kwiatami, roślinami, a nawet wstążkami i t. p. stół jadalny na różne przyjęcia i uroczystości, nie wiedzą zaś, że zamiast dodawać uroku, raczej szpecą całość.

Co do barw, można dobierać swobodnie, najwykwintniej jednak przedstawia się stół o dwóch, lub jednym kolorze, a już do uczyty weselnej stanowczo powinna być utrzymana dekoracja w jednej barwie, t. j. białej, w ostateczności, choćby tylko środek stołu.

Różnych kombinacji i sposobów zdobienia stołów mamy mnóstwo. Niepodobna ich tu wszystkich wymieniać. Przytoczę tylko kilka przykładów, zaczynając od skromniejszych np. od rozstawienia wzdłuż stołu kilku kwitnących, lub liściastych roślin doniczkowych, jak małe palmy, draceny, których donice otoczono mchem, albo umieszczenia w środku stołu, żardyniery, koszyczka, lub czary z kwiatami sezonowymi. Prześlicznie dekorują gałązki kwitnących krzewów i drzew owocowych, jest to jednak zdobienie rabunkowe, połączone ze szkoda sadów. Jesienią różnobarwne liście—pożółkłe i zczerwieniałe, a zimą konifery (iglaste gałązki) mogą w danym razie doskonale zastąpić brak kwiatów. Dobrze wyglądają, a niewiele kosztują, rozrzucone na obrusie cięte kwiaty, lub liście i gałązeczki zieleni. Dekoracja ta powinna robić wrażenie, jakby wykonana odniechcenia, a jednak ma posiadać pewien system i gust. Wspanialszą dekorację stanowić będą gałązki, lub festony lekkich, pnących roślin, jak medeak, tradescantia i t. p., wyprowadzone od czary, wazy, lub żardyniery z kwiatami, a wijące się po stole, przeplatane i zakończone pojedynczymi kwiatami, lub wiązkami.

Oryginalną może być dekoracja, skombinowana z kwiatów i owoców, ułożonych w koszyczkach, lub rosnących na drzewkach. Jest to specjalność japońska, w tym kraju bowiem, a także we Francji i Anglii hodują w donicach drzewka owocowe i winogrona małe — lilipucie, przeznaczone wyłącznie do zdobienia stołów. Przybrane odpowiednio w kwiaty, dają biesiadnikom ponętny obraz. Widziałam i u nas w Polsce podobne drzewka, pielęgnowane przez panią dyr. B. nader starannie i udatnie.

Należy zwrócić uwagę, że obecnie wracają do mody stoły okrągłe. Oglądać można takie na różnych wystawach meblowych i ogrodniczych. Dekoracja powinna być do kształtu zastosowana: w środku stołu żardyniera, koszyk, klombik i t. p., okrągły, a wy prowadzone od niego gałązki, festony, czy girlandy biegną także w liniach zaokrąglonych.

Ubieranie stołów wstążkami, kokardami, bibułka karbowaną uważam za nie stosowne, i niegustowne.

Nie będę tu opisywać różnych „oryginalnych” pomysłów (zajęłyby całą osobną broszurę), lecz pozostawię gustowi i fantazji czytelniczek wytwarzanie kombinacji indywidualnych, a chociaż nasze panie przeważnie nie są kształcone specjalnie w sztuce kwiaciar skiej, jak młode japonki z towarzystwa, które posiadają nawet osobnych profesorów, wykładających im „kikka” (t. j. sztukę kwiaciarską), to jednak w wielu wypadkach wykazują wrodzone w tym kierunku zdolności i potrafią złożyć — zwłaszcza mając już wskazania ogólne — ładną dekoracyjną całość. Przykładów i wzorów, w praktyce przeprowadzonych, zresztą nie brakuje u nas w Polsce, np. alegoryczne i artystyczne, a z myślą przewodnią wykonane pomysły W. Salwy, które zwiedzającym różne wystawy ogrodnicze nie powinny być obce.

Przy wszelkiem zdobieniu, czy to fantazyjnym, czy najzwyczajszym — pamiętać należy, że ma ono być nie tylko ładne, ale także i przedewszystkiem celowe: stanowić przyjemność dla uczestników, a nie tamować, ani przeszkadzać w swobodzie rozmowy i ruchów.

Na zakończenie zwrócić pragnę uwagę szanownych czytelniczek na jedną kwestję, którą trudno mi pominąć milczeniem, t. j. na pojawiające się tu i owdzie u nas w kraju ozdoby roślinne — (żardyniery, kosze, wieńce i t. p.) takie sztywne, ułożone i „uwite” — (jak to określiło jedno z pism zawodowych warsz., pisząc o ekspozycjach firm niemieckich na wystawie ogrodn. p.ozn.) — „według gustu berlińskiego”;*) i w dodatku niejednokrotnie przybrane kwiatami sztucznymi zamiast świeżych. Czyż potrzebne jest uciekanie się do „sztucznych” wyrobów teraz, kiedy hodowlę żywych roślin tak rozwinięto? Może być przecież skupione bogactwo materiału, a jednak nie wyglądać ociężale, lecz wdzięcznie, powabnie. Pamiętajmy, że pięknem jest to, co najbardziej zbliżone do natury, a przedewszystkiem — co swojskie, co nasze!

Ob.

* Wczynie wojny miałam sposobność widywać w Niemczech, zwłaszcza w Dreźnie, we wszystkich oknach kwiaciarskich ozdoby z roślin w ten sposób nabity i ciężki wykonane; widocznie utrzymuje się tam ów charakter ozdób nieprzerwanie.

(Przypis aut.)



W SPRAWIE ZORGANIZOWANIA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W większości krajów Europy, a przedewszystkiem w Anglii, Niemczech, Belgji, Danji gospodarstwo domowe jest zorganizowane znacznie lepiej, niż w Polsce. Oprócz specjalnych fachowych szkół gospodarczych—o różnym poziomie—dla dorosłych kobiet, nauka gospodarstwa domowego jest traktowana, jako jeden z ważniejszych działów nauki w przedszkolu, szkole początkowej i średniej. W Ameryce praktyczna nauka gospodarstwa domowego nietylko że wplata się w szkolnictwo elementarne i średnie, ale jest jednym z wydziałów uniwersytetu.

Zasobna w kapitały Ameryka może sobie pozwolić na organizowanie Instytutów eksperymentujących metody naukowej organizacji gospodarstwa domowego i wypróbowywania urządzeń technicznych domowych, nas jednak na rozmach taki nie stać. Niemniej przecież jeszcze kosztowniejszym jest brak zorganizowania u nas gospodarstwa domowego—jest to główne źródło naszych deficytów państwowych. Powinniśmy jaknajszybciej i najwszechstronniej starać się zapoznać z metodami zastosowywania zdobyczy naukowych do gospodarstwa, przyswajając te, które u nas mogłyby być odpowiednie, a tworzyć metody własne na miejsce tych, które do warunków naszych się nie nadają.

Dla zapoznania Sz. Czytelników z amerykańskimi metodami organizowania gospodarstwa domowego, opiszę powstanie i działalność Instytutu Dobrego Gospodarstwa (D. G.), który zwiedzałam w New Yorku.

Celem tego Instytutu jest wypróbowanie narzędzi, używanych w gospodarstwie domowym, metod gotowania, prania, palenia w piecach, zużytkowywania odpadków z gospodarstwa etc.

Powstał Instytut ten 16 lat temu w stanie Massachusetts w miasteczku Springfield; mieścił się wtedy

w małym pokoju, zapoczątkowany przez dietetyczkę, która wypróbowywać zaczęła przepisy kuchenne. Nikt wówczas nie myślał, nawet sami pionierzy Instytutu, aby mógł on się w kilkanaście lat rozwinąć w instytucję, wypróbowującą całe urządzenie domu, przepisy gospodarcze, oraz tworzącą szablon budżetu i metody prowadzenia domu.

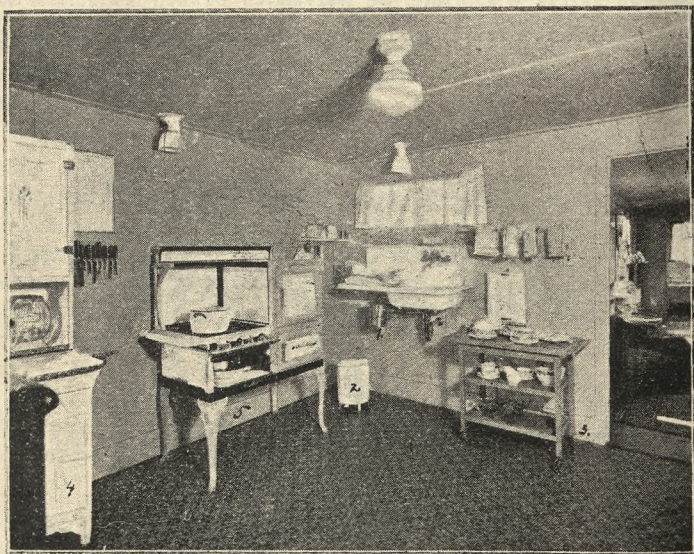
Do chwili rozwoju Instytutu Dobrego Gospodarstwa, niemal każda z kobiet, prowadzących dom, załatwiała swe sprawunki bez żadnego planu i pewności, że one odpowiedzą jej oczekiwaniom. Po załatwieniu kupna garnków, pralni, lub jakiejś instalacji gazowej, czy elektrycznej, zorientować się dopiero mogła, czy i jak dalece sprawunek dany był praktyczny, a gdy okazał się nieodpowiedni, nie miała na kim poszukiwać swej straty.

Każdej początkującej gospodyni chodzi o zdobycie wypróbowanych przepisów kuchennych i gospodarczych, i u nas, gdy coraz więcej młodych i niedoświadczonych kobiet obywa się bez służby, rewizja naszych książek kucharskich—pod względem zdrowotności i ekonomji podanych przepisów—jest bardzo aktualną sprawą do zrobienia.

Przy wypróbowywaniu przepisów kulinarnych Instytut Dobrego Gospodarstwa zainicjował ujednostajnienie miar w wydawaniu produktów do gotowania. W każdej kuchni w Ameryce są teraz jednakowe blaszane, lub szklane kubki z podziałkami do nabierania mąki, kasz, cukru, mleka etc., specjalne łyżki do mierzenia ilości branego tłuszczu do potraw (w polskiej kuchni byłoby to bardzo ważne, gdyż nieodpowiedni stosunek tłuszczu do innych składników jest główną przyczyną niestrawności wielu naszych potraw, ekspensowności naszej kuchni, oraz „nieudania się” różnych przypraw, mas tortowych etc.)

Nie na tem koniec jednak zasług Instytutu Dobrego Gospodarstwa. Wprowadził on gospodarstwo domowe do rzędu innych „biznesów”, t. j. dał inicjatywę do traktowania gospodarstwa domowego, jako fachu, który zatrudnić może nietylko kobiety, ale i mężczyzn. To też naukowa organizacja pracy zajęła się w pierwszym rzędzie gospodarstwem domowym—podstawą wszystkich innych jednostek gospodarczych. W ciągu kilkunastu lat istnienia, Instytut Dobrego Gospodarstwa rozwinął się tak dalece, że otworzył kilka wydziałów: kulinarny, inżynieryjny, prasowy.

W dziale inżynieryjnym zaczęto od urządzeń kuchni. Załączone fotografie przedstawiają kuchnię i pralnię Instytutu D. G., a zarazem dają zresztą wierny obraz, jak wyglądają urządzenia kuchenne w przeciętnym domu, począwszy od robotnika, a skończywszy na najbogatszym obywatelu Stanów Zjednoczonych. W ekwipowaniu „wzorowej” kuchni Instytut D. G. nie miał na celu zastosowywać się do jednego budżetu jakiejś rodziny amerykańskiej. W wyborze urządzeń i rozmieszczeniu ich kierowano się zasadą: minimum sprzętów, przy maximum korzyści i udogodnień. Każdy może otrzymać szczegółowe rady i informacje o tem, jak zastosować takie urządzenie do ram swego budżetu i mieszkania. Gdy się wchodzi do kuchni amerykańskiej, uderzyć każdego musi czystość idealna, szczególnie schludnie wygląda kubełek do śmieci (rys. 1, fig. 2) i zlew, które u nas tak często są synonimami brudu. Amerykański zlew jest porcelanowy, lub fajansowy, czy też kamienny, jest łatwy do zmycia, zawsze zaopatrzony w cokolwiek pochyłą płytę (z lewej strony na fotografii) dla obsiákania zmytych



Rys. 1. Wnętrze kuchni amerykańskiej.

1—naczynie z dobrym zamknięciem na odpadki kuchenne, 2—wiaderko na śmieci, 3—ruchomy stolik, 4—szafa podręczna, 5—kuchenka gazowa wraz z piecykami do pieczenia ciast.

naczyń. Na resztki jedzenia jest specjalne ścielnie zamykające się naczynie (rys. 1, fig. 1) tuż pod zlewem umieszczone. Zbadano: przy jakiej wysokości zlewu najmniej trzeba się pochylać, jaki kształt jest najodpowiedniejszy dla zaoszczędzenia ruchów, jaki jest najszybszy, a najhigieniczny sposób zmywania naczyń (na rys. 1 na płycie zlewu z lewej strony jest druciany „dish drier“, t. j. obsuszacz do statków). Z prawej strony zlewu stolik na kółkach, pomocny przy podawaniu potraw do stołu i zbieraniu talerzy, znajduje się tuż przy drzwiach do jadalnego pokoju (fig. 3).

Nezależnie od rodzaju pieca kuchennego (gazowego, węglowego etc.) tuż obok kuchni powinna stać szafa (fig. 4) z najniezbędniejszymi produktami i narzędziami kuchennymi, co oszczędza wiele zbytecznych ruchów i zmęczenia przy gotowaniu. Kuchenki gazowe z piecykiem są niezmiernie praktyczne w naszych domach, gdzie jest centralne ogrzewanie. Tam, gdzie go nie ma, przy gotowaniu jedynie na gazie w kuchni wdać się może wilgoć, niemniej jednak opłacalność zaprowadzania kuchni gazowych, lub elektrycznych jest jeszcze kwestją niedość wszechstronnie zbadaną dla naszych warunków, a zupełnie już sprawą przesadzoną dla warunków amerykańskich.

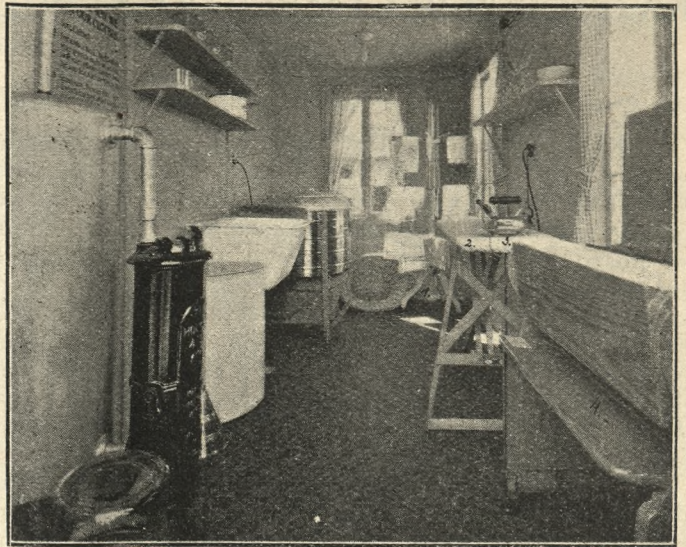
W naszych warunkach możnaby zastosować metodę: 1) minimum sprzętów, przy maximum użyteczności; 2) dopasowywanie wysokości stołów, zlewu do wysokości pracującej osoby; 3) wprowadzanie sprzętów i maszyn z materiału takiego, aby brud łatwo mógł być zmyty; 4) dobra wentylacja i dużo światła. Dla wzmocnienia światła sztucznych reflektory, umieszczone za lampami, skierowują światło na odpowiednie miejsca; 5) zastępowanie piecykami gazowymi i elektrycznymi kuchni węglowych, szczególnie w domach z ogrzewaniem centralnym.

Bołączką naszych urządzeń kuchennych jest brak pomieszczenia dla pralni. W Instytucie Dobrego Gospodarstwa w New Yorku urządzono pralnię tak, aby ją najskromniejsze gospodarstwo domowe mogło naśladować. Rys. II przedstawia komórkę na rzeczy, w której wybito okno, przerabiając ją na pralnię. Od „buljera“, który w naszych warunkach można zbudować np. nad piecem kuchennym, odchodzą rury do kranu ze stałe ciepłą wodą. Instytut D. G. rozpoznał szereg typów pralni elektrycznych i te, które uważał za praktyczne, opatrywał swą marką (tested & approved).

Napełnianie pralni gorącą wodą, oraz wylewanie z pralni brudnej wody odbywa się zapomocą rur gumowych, które z jednej strony mogą doprowadzać gorącą wodę z kranu do pralni, z drugiej—odprowadzać brudną do zlewu. Suszenie odbywa się elektrycznymi wiatrakami w oddzielnych specjalnych szafach w ścianie, połączonych z otworem wentylacyjnym na zewnątrz. Mniej kosztowne są wieszadła do suszenia bielizny na zewnątrz okna kuchennego, lub przytwierdzone na bloczkach u sufitu kuchni, jak to widzimy na załączonym rys. II, fig. 1. W pralni na rys. II jest zwykłe wieszadło praktyczne jako dodatkowe. Oprócz wygodnej, składanej deski do prasowania i żelazka elektrycznego, amerykańska pralnia posiada elektrycznością poruszany magiel.

U nas możnaby zastosować następujące uwagi przy urządzaniu pralni:

1) W rozmieszczaniu sprzętów w pralni powinny być 2 zgrupowania: a) do prania, b) do prasowania, które to musi mieć szczególnie dobre światło.



Rys. II. Pralnia domowa.

1.—wieszadło na bieliznę, 2—deska do prasowania, 3—żelazko elektryczne, 4—magiel poruszany elektrycznością, 5—kocioł do wytwarzania gorącej wody.

2) Wypróbować nie tylko maszynę do prania, ale i trzymać się już jednego wypróbowanego systemu przy praniu: np. a) sortowanie bielizny, wełny, zależnie od gatunku, stopnia zabrudzenia, b) pranie w letniej wodzie w pralni przez 10 min., (w ręku wypadłoby to znacznie dłużej—trzeba moczyć 24 do 36 godzin.) c) powtórne pranie w wodzie znacznie cieplejszej, oraz z dodatkiem obfitych mydlin przez 20 minut, d) wypłókanie w ciepłej wodzie; e) w zimnej—gdy potrzeba odrazu krochmalić; f) farbkowanie i krochmalenie; g) badanie proporcji mydła, krochmalu, farbki do ilości wziętej wody—przy ujednostajnionej temperaturze i jednakowym czasie prania, dawałoby nowe i bardzo pożyteczne wyniki dla tworzenia ulepszonych metod dla naszych warunków. *Marja Morzkowska.*

Każdy, kto posiada choć kawałek ziemi, powinien nabyć książeczkę p. t.

„MÓJ OGRÓDEK“

I część—kwiaty, II część—trawniki, róże, inspekta, warzywa

CENA 1,50 gr.

Wysła Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa, Krakowskie - Przedmieście 99 — po otrzymaniu należności przekazem pocztowym, lub na konto czekowe P.K.O. 13.555.

Czytelnikom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem pocztowym nie wysyłamy.

KWIECIEŃ W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Kwiecień na wsi jest cały wypełniony pracami w ogrodzie i około drobiu. W tym miesiącu wypada wylęganie się gąsiąt, które, aby były silne, łatwo mogły przenieść choroby, napastujące je w lipcu, w porze największych upałów i naogół pomyślnie się hodowały, powinny się wylęgnąć przed św. Wojciechem, to jest przed 23 kwietnia. Na kresach mówi się o św. Jerzym, co, zresztą, jest tym samym terminem. W kwietniu też lęgną się w największej ilości kurczęta z jaj, podkładanych w marcu pod kury. Takie wczesne kurczęta na najlepszy i najkorzystniejszy zbyć liczyć mogą.

W kwietniu też sadi się na jajach kaczki, indyczki, perliczki. Przypominam tu gospodyniom pewien przesąd może, ale rozpowszechniony na kresach, i którego bagatelizowanie parokrotnie dosyć dotkliwymi stratami przyplaciłam: kaczki i gęsi podobno poznają swoje jaja, trzeba je, więc, wyjmując z gniazda po zniesieniu znaczyć i pod każdą sztukę jej własne jaja podkładać,—tylko w takim razie chętnie i pilnie je wysiadują. Druga uwaga,—to już nie przesąd, lecz pewnik wypróbowany: do izby, gdzie siedzi ptactwo, szczególnie gęsi i kaczki, nie powinien nikt wchodzić z papierosem, fajką i t. p., gdyż zapach dymu sprawia, że drób porzuca jaja i przestaje je wysiadywać. Często nie umieją zgadnąć, co było tego przyczyną. Szczególniej obecnie, kiedy tyle kobiet pali, należy o tem pamiętać, żeby z zapalonym papierosem nie wchodzić do kurników.

W ogrodach warzywnych i kwiatowych wre praca, sieje się wszystkie kwiaty i jarzyny, których nasienie idzie wprost do gruntu. W inspektach rozpikowuje się flance jarzyn i kwiatów, aby mieć silne rośliny do wysadzania na grunt w maju.

Święta Wielkanocy przypadają w tym roku w połowie miesiąca, czasu więc do nich pozostało mało. Należy też czas wykorzystać w taki sposób, aby jeszcze przed Wielkim Tygodniem zrobić wielkie pranie,—połączone z przesuszeniem całej bielizny, jaką mamy.

Na wsi należy to wykonać na świeżem powietrzu,—w mieście—choćby w słonecznym pokoju, przy otwartych oknach. Kilka godzin takiego przesuszania rozpustartych sztuk, nie tylko doskonale wpływa na trwałość bielizny, lecz chroni ją jeszcze od zażółcenia, tak pospolitego przy złem płókanu i trzymaniu bielizny w ciasnych szufladach, bez należytego dostępu powietrza.

Pranie firanek przed Wielkanocą należy wykonać tylko tam, gdzie na lato się je na oknach pozostawia, tam zaś, gdzie w pierwszych dniach czerwca wyjeżdża się na letnisko i wszystko w mieszkaniu zdejmuje i zwija, nie warto sobie na jakiś miesiąc zadawać tego trudu.

Gruntowne oczyszczenie ich zapomocą odkurzacza, lub—w braku odkurzacza, wytrzebanie staranne usunie z nich kurz,—cel główny prania firanek,—a pamiętać powinniśmy, że firanki tiulowe są niemocne, i że każde pranie skraca poważnie ich trwałość, więc, jaknajczęściej je odkurzać i jaknajrzadziej prać,—przyczem nigdy nie gotować,—co tak często czynią słujące, aby sobie zmniejszyć pracę przy praniu.

W każdym razie wielki już czas poprzedsadzać rośliny pokojowe. Szczególniej te najprostsze kwiatki, któremi mamy ozdobić latem nasze okna i balkony, różnego rodzaju pelargonje i tradescancje, każda gospodyni bez pomocy ogrodnika poprzycinać, poprzedsadzać i rozflancować może.

Dla suchych gałązek i słabych pędów należy być bez litości, ciąć je bez miłosierdzia, rośliny będą zato tylko wdzięczne.

Hortensje szczególnie tylko wtedy ładnie kwitną, jeśli pozostawimy im pędy, idące tylko wprost z korzenia.

Kto chce mieć jakąś piramidę z rzeżuchy, jakiej wazoniki owsa na stół wielkanocny i dotąd ich zasianiem się nie zajął, musi się z tem pośpieszyć, bo dwa tygodnie są najkrótszym terminem do należytego skielkowania i zazielenienia się tych roślinek.

W mieście rzadko kto robi takie altanki i piramidki zielone,—na wsi należą one do tradycyjnych ozdób wielkanocnego stołu,—a świeże gałązki rzeżuchy, ścięte wprost z korzenia, wybornie smakują z jajami na twardo. Zresztą w tym roku późna Wielkanoc zapewne spowoduje, że wszelkich nowalijek i zieleni będzie w miastach poddostatkiem.

Panie na wsi, mające własne cieplarnie, będą już miały nie tylko sałatki i rzodkiewki inspektowe, lecz i ogórki—z gatunków olbrzymich, wijących się, kalafjory wczesne i kartofelki młode.

Co do tych ostatnich, to hodowla ich w inspekcji jest tak łatwa i prosta, że przed wojną, co rok, na św. Józefa, a zatem 19 marca, mój, wcale nie za mądry, ogrodnik przysyłał ich ogromny kosz, (około 20 kilo) na imieniny mego męża.

Hodował je w zwykłym inspekcji ciepłym i zużywał na tę hodowlę około 6—7 tygodni. Brał na to wczesne kartofle amerykańskie, bardzo blado-różowe, podłużne,—przypuszczam, że w handlach nasiennych można i po wojnie takich wczesnych odmian dostać.

Największą pracą kwietniową będzie urządzenie Świąt Wielkanocnych.

Zapobiegliwe, a oszczędne gospodynie winny były wszystkie suche, a niepsujące się zapasy, jak to: mąkę i cukier, bakalje, orzechy, migdały, korzenie i t. p. zgromadzić jeszcze w marcu,—jeżeli tego nie uczyniły w pierwszych dniach kwietnia powinny te zakupy zrobić, żeby odciążyć nieco ostatnie dni przedświąteczne, sobie przedewszystkiem, a potem kupcom, którzy w ostatnim tygodniu, mimo zwiększonego personelu, rady z wpływem kupujących dać nie mogą.

Ostatni też czas na zamarynowanie i zasolenie mięs, jeżeli to robimy w domu. A zatem, na zamarynowanie szynki (młoda i nieduża w 10 dni dostatecznie się przesoli i będzie miała ładny kolor), na także zamarynowanie cielęciny i ozorów,—wszystkie te mięsiwa zapeklowane, jako idące na natychmiastowy użytek, można uwędzić prędko, w gorącym dymie,—co dla wędlin trwalszych, przeznaczonych na przechowanie, jest szkodliwe.

W mieście takie wędzenie prędkie skuteczniejszą wędzarnię. Tak samo można urządzić świąteczne kiełbasy, wędząc je, prawie piekąc w gorącym dymie. Trwa to parę godzin tylko. Pieczenie: wołowe, sarnie, łosiowe i t. p., można już zamarynować w lekkiem occie, przegotowanym z korzeniami, często je tylko przewracając i chroniąc od pleśni. Cielęcina świeża da się w chłodzie przechować 10 dni i więcej, ułożona w głębokie naczynie i zalana zimną, przegotowaną

waną z solą, listkiem i pieprzem wodą, tak, aby ją dobrze pokryło i naciśnięta denkiem. Pozostanie biała i będzie bardzo krucha, nieco się tylko trudniej w pieczeniu rumieni.

Do podziału pracy w tygodniu przedświątecznym, podziału, obmyślnego zgóry, aby nie przeciążyć siebie i służby, pozwolę sobie powrócić w następnym numerze „Bluszczu“.

Pani Elżbieta.



PASZTET Z KAPUSTY

Z pół kilo mąki, ćwierć kilo masła, lub smalcu, paru łyżek kwaśnej śmietany, jednego jajka, pół łyżeczki sody i łyżeczki soli zagnieść kruche ciasto, wynieść je na chłód na godzin parę. Tymczasem, dwukilową głowę świeżej kapusty usiekać drobno, odrzucając głąby, wrzucić na osolony wrzątek, zagotować parę razy, odcedzić na sicie. W zależności od tego, czy dzień jest postny, czy też mięsny, przygotować kilkanaście ugotowanych i usiekanych młodych grzybków, lub też ćwierć kilo pokrajanej w paski, gotowanej szynki, czy nietłustego boczku. Dwie duże cebule pokrajać drobno i podsmażyć w łyżce masła. Zmieszać kapustę, grzybki, masło i cebulę, (masła do grzybów trzeba jeszcze dodać, jeżeli dodajemy tłustą szynkę, jest to zbyt czyste) osolić do smaku, leciutko popieprzyć. Formę, lub płaski rondel, wyłożyć cienko rozwałkowanym ciastem, zostawiając trzecią część na pokrycie. Nałożyć dobrze wystygłym farszem, przykryć resztą ciasta, doskonale złączyć brzegi. Nakłuć wierzch widelcem, aby para z kapusty miała ujście. Piec około godziny, w dobrze gorącym piecu. Przed podaniem wyłożyć na półmisek i potrzymać minut dziesięć przykryty serwetą, lub czystą ściereką. Oddzielnie podać sos grzybowy, zrobiony na smaku z wygotowanych grzybów i dobrze zaprawiony śmietaną, — to w wypadku, jeżeli użyliśmy grzybów do kapusty. Jeżeli dodaliśmy szynki, dajemy do pasztetu zwykły sos rumiany, zrobiony na rosole, lub na mięsny buljonie, z kaparami, korniszonami, lub też z plasterkami cytryny.

PIECZEŃ WOŁOWA NA ŚWIECONE

Na stole wielkanocnym przeważają zwykle zimne mięsiwa, szczególnie teraz, kiedy surowe przepisy łowieckie zabraniają wiosną bić sarny, łosie, zajęce nawet. Indyki i pulardy, prosięcina i cielęcina, smaczne, lecz bardzo do siebie w smaku zbliżone. To też każda potrawa z wołowiny jest mile widziana. Dobrą dużą pieczeń wołową (około 8 kilo), wybić mocno, posolić dodając do soli pół łyżeczki saletry. Zagotować parę litrów octu z pieprzem, zielem, listkiem, kolendrą, jałowcowymi jagodami, goździkami, wystudzić zupełnie, zalać tem pieczeń, naciśnąć denkiem

i kamieniem, powinno tak leżeć przynajmniej dni ziesięć w tej marynacie, (dwa tygodnie też nie zaszkodzi), — codziennie należy ją przewracać.

Przed użyciem wyjąć, naszpikować ją słoniną, dosyć grubo krajaną. Rondel wyłożyć też plastrami słoniny, na to dać pieczeń, zrumienić na silnym ogniu, poczem postawić na wolnym ogniu, włożyć parę dużych cebul, marchew i burak, pokrajane w plastry, różnych korzeni, — dusić, podlewając octem, w którym się marynowała, — dusić bardzo wolno, aby doszła, a nie rozpadła się. Gdy miękka, wyjąć zaraz na duży półmisek i wynieść na chłód. Sos z niej przetrzeć przez gęste sito, na dwie szklanki sosu dodać sześć listków żelatyny białej, rozmoczonej w zimnej wodzie, dwie łyżki oliwy, (wszelki tłuszcz należy z sosu starannie zebrać), — ubić trzepaczką na lodzie, oblać wystudzoną pieczeń grubą warstwą tego sosu. Przed podaniem przełożyć na inny półmisek, ubrać wkoło wianuszkami zielonej rzeżuchy i jajami farbowanymi. Krajać, kraje się plastry cienkie, wraz z pokrywającą pieczeń galareta. Do tej pieczeni najodpowiedniejszy jest sos musztardowy. Taka pieczeń jest tak wyborna, że może zastąpić każdą zwierzynę. Jeżeli chcemy ją podać z kompotem, nie należy jej polewać sosem z oliwą i żelatyną.

BABKA LEKKA

Dwa kilo mąki rozczynić 10 deka drożdży, rozpuszczonych w litrze dobrej śmietanki, w pierw zagotowanej i jeszcze cieplej, (nie gorącej). Dać podrosnąć. Czterdzieści deka cukru i 20 żółtek ubić do białości, wlać do ciasta i całą masę mocno ucierać wałkiem, dodając łyżeczkę od kawy utłuczonej kardymonji, łyżeczkę soli, kilkanaście gorzkich migdałów, sparzonych, oczyszczonych z łupin i utłuczonych. Ucierać mocno, aż masa pod wałkiem rosnąć zacznie. Wtedy dodać sztywną pianę, ubitą z 15 białek, wymieszać tylko lekko zgóry nadół. Formę do bab wysmarować masłem, wysypać bułeczką, nalać mniej niż połowę ciasta, dać dobrze wyrosnąć; gdy już na trzy palce do brzegu formy wyrosnie, wstawić w piec napalony, jak na zwykłe baby, i upiec. Niekosztowna i smaczna baba.

KSIĄŻKA

p. t.

„PISANKI”

mówi o pochodzeniu pisanek i tradycjach, z niemi związanych, oraz uczy, jak zdobić i czem barwić jajko wielkanocne.

Cena 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „Życia Praktycznego“, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Pragnąc dać odpowiedź wszystkim czytelniczkom „Bluszczu” na skierowane do nas zapytania i prośby o porady kosmetyczne, postanowiliśmy w dziale kosmetycznym wprowadzić system ogólnych odpowiedzi na identyczne pytania.

Zarazem chcielibyśmy umożliwić Sz. Czytelniczkom, zwłaszcza mieszkającym na prowincji, korzystanie w większym, niż dotychczas stopniu z porad kosmetycznych.

Wobec tego podajemy do wiadomości ogółu naszych Czytelniczek, że prenumeratorki „Bluszczu” będą mogły korzystać nie tylko z porad kosmetycznych, lecz na dolegliwości natury kosmetycznej będą mogły otrzymywać środki, które będziemy wysyłać pocztą na zamówienie za zaliczeniem pocztowym. Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Warszawa, Krucza 31 m. 3. według poniższego wycenienia.

Kosmetyki Dr. J. Świtalskiej.	
„Mój Krem”	6 zł.
„Mój Puder” higieniczny we wszystkich odcieniach	4 zł. 50 gr.
Galaretki na łojotok Nr 1, Nr 2, Nr 3	5 zł.
Krem po goleniu	5 „
Krem na łupież	5 „
Krem na piegi	5 „
Szampion higieniczny	2 „
Płyn do wzmocnienia włosów	6 „
Mydło liljowe	3 „ 50 gr.
Perełki do kąpieli przemiennych	5 „
Perełki do pielęgnacji biustu	5 „
Krem do rąk	3 „
Pomada do włosów dla dorosłych i dzieci	5 „

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Stałym czytelniczkom „Bluszczu” ogólna odpowiedź na pytania „czerwoność nosa”. Czerwoność nosa jest jedną z bardzo często spotykanych dolegliwości, zwłaszcza w wieku starszym.

Przyczyną jej mogą być choroby: 1) przewodu pokarmowego, 2) kobiece, 3) wiek przejściowy, 4) alkoholizm, 5) odmrożenie, 6) zbytńia wrażliwość skóry, 7) choroby skórne.

Przedewszystkiem należy leczyć podstawowe cierpienie, a pozatem unikać czarnej kawy, alkoholu, ostrych potraw i gorących napoi. Leczenie: W przypadkach lżejszych polecam okłady przemienne gorące i zimne po 10 sek. każdy; 10 okładów zimnych i 10 gorących na noc, litr wody z domieszką kwasu taninowego (10 kropel kwasu na litr wody). Przy uporczywych przypadkach wskazane jest leczenie światłem. Do okładów przemiennych moje perełki stosować przez okres paru miesięcy.

Parafjanka. „Ziutka” był pseudonim innej pacjentki. Proszę przeczytać ogólną odpowiedź na łojotok, oraz książkę moją „Piękność i zdrowie w życiu kobiety”. Łojotok leczy się latami tylko pielęgnacją długą i wytrwałą. Przy łojotoku należy nie tylko odłuszczyć skórę, ale zmienić właściwość gruczołów łojowych w skórze co jest b. trudne. Czasami światło górskie na łojotok twarzy skóry daje jak i najlepsze rezultaty.

J. W. K. Odp. czytaj „Parafjanka”.

L. B. Naświetlanie na włosy stosować tylko można pod kierunkiem lekarza. Cała umiejętność polega na tem, ile minut? jaka odległość lampy od pacjenta, i ile posiedzeń należy stosować. Potrzeba bardzo indywidualizować, bez zobaczenia nie można tego określić.

Brzydka Sosnowiczanka. Na tłustą cerę wycierać dwa razy dziennie spirytem rezorcynowym dwuprocentowym. O ile łojotok jest lżejszego stopnia, dwa razy w tygodniu parować twarz po 10 min. Dwa razy dziennie zmywać twarz gorącą wodą i mydłem liljowem, na dzień używać puder higieniczny—kolor naturalny, dwa razy w tygodniu—„Mój Krem”. Jeśli skóra zacznie się łuszczyć, używać krem 3 razy w tygodniu. Na wewnątrz—zwracać uwagę na przewód pokarmowy: codzienne wypróżnienie—konieczne; po 6 tygodniach proszę napisać. Przy łojotoku silniejszego stopnia konieczne są stałe zabiegi lekarskie. Na łojotok polecam moją galaretkę.
Dr. med. J. Świtalska.

Pani M. J. Sieńska. Przepis, żądany przez Sz. Panią jest następujący: 40 dk. deserowego masła utrzeć na śmietaną, dodając po jednym 10 żółtek, dosypywać wierząc ciągle, 40 dk. najpiękniejszej mąki, 40 dk. cukru pudru i trochę śmietanki, tak, aby ciasto pulchne było—potem wsypać przebranych, wypłokanych i wytartych do sucha rodzenków bez pestek 2 filiżanki, drobnych korynek 2 filiżanki, migdałów słodkich w skórkach, wytartych w serwecie, pokrajanych podłużnie, 2 filiżanki gorzkich, oparzonych i drobniutko usiekanych, 2 dk., skórki pomarańczowej smażonej w cukrze, drobno pokrajanej jedną filiżankę—wszystko dobrze wymieszać z ciastem—w końcu ubić pozostałe 10 białek na tęgą pianę, wymieszać lekko z masą—natychmiast wlać do podłużnej foremki od strucli, dobrze masłem wysmarowanej i piec w wolnym piecu; jak ostygnie, wyjąć ostrożnie. Można zamiast 2 dk. migdałów wziąć tylko jedno, a wzamian więcej skórki pomarańczowej, lub, kto lubi, cykaty, a dla zapachu wsypać trochę wanilii.

PIELĘGNOWANIE CERY

Uwieńczone bywa pożądanym skutkiem, jeśli preparat dostosuje się do danych właściwości skóry. I tak np. tłustą cerę myje się gorącą wodą i Dr. Lustra proszkiem marmurowym, natomiast otrąbki migdałowe Dra. Lustra wskazane są dla suchej i normalnej cery.

KSIĄŻKA

p t.

„100 Postnych i Jarskich Dań”

podaje niezwykle, smaczne i praktyczne przepisy postnych i jarskich potraw.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Komplety Tkactwa Ręcznego Artystycznego

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ WSPÓLPRA-COWNICZKĘ DZIAŁU ROBÓT W „BLUSZCZU”.

INFORMACJE TELEFONICZNIE
do g. 10-ej rano i od 3 do 5 pp.
TELEFON 273-34.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.